

Aleksander Smolar

Demokracja i kryzys

Stenogram z wykładu i dyskusji z 14 grudnia 2011 r.

Jerzy Hausner

Dziękuję bardzo. Proszę państwa, pan rektor wspomniał, że to seminarium odbywa się w ramach cyklu „Dobre Rządzenie”. Raz w roku organizujemy sesję specjalną. Ona ma trochę inny charakter. Zaraz wyjaśnię, na czym polega odmienność, ale pozwólcie państwo, że przedstawię naszych dzisiejszych prelegentów. Jak pan rektor wspomniał, głównym prelegentem będzie pan Aleksander Smolar, który prezesuje Fundacji Batorego, ale jest równocześnie w Polsce osobą bardzo ważną, osobą publiczną, doradcą bardzo wielu ważnych osób, swego czasu pana Tadeusza Mazowieckiego, teraz mogą powiedzieć, że nieformalnym doradcą i prezydenta Komorowskiego i premiera Tuska. Jest i publicystą, i politologiem prowadzącym własną działalność naukowo-badawczą i akademicką oraz osobą bardzo wpływową i znaczącą dla kształtowania polskiej opinii publicznej od kilkunastu lat, osobą może nie pierwszego planu politycznego, ale niezwykle ważną dla tego okresu rozwoju Polski. Gdyby prześledzić życiorys pana Smolara, to znajdzie się w nim bardzo wiele interesujących i przede wszystkim pięknych kart. Bardzo dziękuję, że udało się Ciebie zaprosić do nas na Uniwersytet. Umowa generalnie jest taka, że nasz gość ma na ogół 30 minut, ale myślę, że w tym przypadku może to być trochę więcej.

Mamy jak zwykle dwóch koreferentów. Pierwszym z nich jest profesor Andrzej Antoszewski z Uniwersytetu Wrocławskiego. Chcę powiedzieć, że Uniwersytet Wrocławski i je-

go politologia to dzisiaj najsilniejszy ośrodek politologiczny w Polsce. To za sprawą pana profesora Antoszewskiego, który należy na pewno do czołówki polskich akademickich politologów. Z przyjemnością pragnę podkreślić, że pan profesor często u nas gości. Nie tak dawno był jednym z referentów na konferencji, którą organizował pan profesor Jerzy Kornaś – kierownik naszej Katedry Nauk Politycznych. Można powiedzieć, że pan profesor jest osobą bardzo zaprzyjaźnioną z nami, z naszym Uniwersytetem.

Drugim prelegentem będzie pan doktor Bartłomiej Nowotarski z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, dwaj prelegenci są więc z Wrocławia. Pan doktor Nowotarski też jest politologiem zajmującym się problematyką styku demokracji i polityki. Jest osobą, która swego czasu, będąc w otoczeniu Bronisława Geremka, miała wpływ na przygotowanie Małej Konstytucji, a także ustawy o partiach politycznych. Pan Nowotarski był poza tym wiceprezydentem Wrocławia. Obecnie jest bardzo aktywnym akademikiem i jednocześnie osobą rzeczywiście szanowaną jako doradca dla wielu krajów arabskich, tak że bardzo często gości w Iranie.

Dlaczego ta sesja jest szczególna? Po pierwsze, trwa nie dwie godziny, ale dwie i pół. Po drugie, chciałbym dać trochę więcej czasu na wystąpienie główne i wystąpienia prelegentów, ale nie tak dużo, aby nie zostawić godziny na dyskusję. Dyskusja jest tym razem rejestrowana, powstanie z niej stenogram. Stenogram, po autoryzacji wszystkich, którzy się w niej wypowiedzą, zostanie opublikowany w naszym kwartalniku *Zarządzanie Publiczne*. Tak robimy w przypadku tej specjalnej sesji. Proszę w związku z tym wziąć to pod uwagę. Osoby, które będą chciały zabrać głos w dyskusji proszę, żeby się przed-

Wykład Aleksandra Smolara (prezesa Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego) pt. „Demokracja i kryzys” odbył się w ramach seminarium „Dobre rządzenie” 14 grudnia 2011 r. Koreferentami byli: prof. Andrzej Antoszewski z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz dr Bartłomiej Nowotarski z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu.

stawili, jeśli sam nie będę mógł powiedzieć, kto zabierał głos, i proszę, żeby mówiły do mikrofonu, bo inaczej nie da się tego zarejestrować. Już na koniec chciałbym państwa z wielką przyjemnością poinformować, że jest z nami pan Edwin Bendyk – redaktor *Polityki*, także osoba z nami bardzo zaprzyjaźniona, bardzo się cieszę, że zechciał pan do nas dołączyć. Bardzo proszę...

Aleksander Smolar

Chciałbym bardzo serdecznie podziękować za zaproszenie. Jest to prawdziwy dla mnie zaszczyt. Zacznę jednak od anegdoty, którą podsunęła mi pamięć, gdy słuchałem z pewnym zakłopotaniem bardzo pochlebnych słów na mój temat z ust profesora Jerzego Hausnera. Wybitny, nieżyjący już, dziennikarz Grzegorz Jaszuński pod koniec życia miał pewne problemy z pamięcią. Nie mogąc widocznie przypomnieć sobie mojego nazwiska – a wiedząc o sprawowanej przeze mnie funkcji – powiedział do mnie pewnego razu: „Pozwolisz, że będę cię nazywał po prostu Batory!”. To był największy, choć symboliczny, awans w moim życiu.

Proszę państwa, przejdźmy do spraw poważnych. Temat, który został mi zasugerowany i który przyjąłem z entuzjazmem, chociaż też z pewnym niepokojem ze względu na jego rozległość, dotyczy relacji między **kryzysem i demokracją**. Dwa pytanie nasunęły mi się natychmiast, gdy zacząłem myśleć o wykładzie. Po pierwsze, **czy kryzys zagraża demokracji**. Wraz z wybuchem otwartej fazy kryzysu w 2008 r., kiedy stało się jasne, że nie mamy do czynienia z banalnym zaburzeniem koniunktury, lecz ze zjawiskiem w swojej głębi i rozległości od wojny niespotykanym, pojawił się szeroko dyskutowany problem, na ile istnieje niebezpieczeństwo powtórzenia się tragicznych procesów z lat 30. ubiegłego wieku. Chodzi nie tylko o rozmiary ówczesnego załamania koniunktury gospodarczej, lecz także o głęboki kryzys demokracji, jej upadek w wielu krajach, powstanie bądź umocnienie się ruchów totalitarnych różnych odcieni, szerzenie się radykalnego nacjonalizmu, we wszystkich prawie krajach Europy i w konsekwencji II wojna światowa. Wobec tego pojawia się pytanie, czy jesteśmy znów w obliczu tego typu zagrożeń, nawet jeżeli nie mają one prowadzić do tak tragicznych konsekwencji jak w czasie kryzysu zwa-

nego „wielkim”? Nie znamy jeszcze odpowiedzi na to pytanie, ale możemy powiedzieć, że w tej chwili panuje raczej atmosfera uspokajająca; ogólne wrażenie jest takie, że mimo głębokiego kryzysu gospodarczego i finansowego, mimo rozpowszechniania się ruchów populistycznych, mimo mnożenia się w różnych krajach ruchów protestu, nie ma w nich praktycznie kwestionowania zasad demokracji. Już to w istotny sposób odróżnia czas obecny od atmosfery lat 30. Kwestionowane są różne aspekty funkcjonowania instytucji demokratycznych, spada dramatycznie popularność polityków sprawujących władzę, jeden po drugim padają rządy sprawujące władzę w czasie kryzysu, często widzimy odmowę udziału w normalnym procesie demokratycznym, wyraz narastającej nieufności i braku wiary w ich pozytywną moc czy wolę działania, ale demokracja jako zasada organizacji polityki nie jest kwestionowana. Nowe ruchy masowe są wyrazem poszukiwania nowej formy uczestnictwa w demokratycznym życiu publicznym, poza tradycyjnymi kanałami polityki, ale bez kwestionowania ram instytucjonalnych demokracji.

Drugie pytanie, które nasunęło mi się, gdy zastanawiałem się nad dzisiejszym wykładem, dotyczy tego, **czy pewne aspekty demokracji, takiej, jaką znamy w Europie czy w USA, nie przyczyniły się do akumulacji problemów, które wybuchły w sposób dramatyczny wraz z początkiem obecnego kryzysu**. To pytanie, choć bez odniesienia do obecnego kryzysu, wisi w powietrzu od dawna, w istocie od 1979 r., kiedy to Chiny rozpoczęły niezwykle marsz ku nowoczesności, bez porzucenia zasadniczych elementów systemu komunistycznego. Pytanie to stawalo się coraz silniej obecne wraz z kolejnymi sukcesami Pekinu, niespełnieniem się kolejnych przepowiedni o końcu fazy przyspieszonego rozwoju tego kraju, a zwłaszcza od momentu pojawienia się zjawisk kryzysowych, obejmujących przede wszystkim świat rozwiniętych demokracji liberalnych. Sukcesy Chin są tak poważne, że mnożą się przepowiednie o rychłym wysunięciu się ich na miejsce pierwszej potęgi gospodarczej w świecie, że będzie to wkrótce najbardziej rozwinięty kraj, chociaż nie w przeliczeniu na głowę mieszkańca; to zajmie znacznie więcej czasu. Niedawno jeszcze mówiono, że w 2050 r. Chiny wyprzedzą Stany Zjednoczone. Teraz mó-

wi się o roku 2020. Oczywiście i w przeszłości mieliśmy zjawiska państw autorytarnych, które odnosiły poważne sukcesy gospodarcze, np. w Azji Południowo-Wschodniej, ale to były stosunkowo małe kraje. One nie stawiały tego dramatycznego problemu relacji między demokracją a rozwojem, przed którym stoimy obecnie. Do niedawna w literaturze dominowało przekonanie o ścisłych związkach liberalnej, rynkowej demokracji z modernizacją i rozwojem gospodarczym. Spektakularny upadek Związku Radzieckiego zdawał się je potwierdzać. Pytanie, które postawiłem, tym bardziej jest niepokojące, że jeżeli spojrzymy na geografie dzisiejszego kryzysu, to nietrudno dostrzec, iż obejmuje on prawie wyłącznie kraje wysoko rozwinięte, liberalne, o zakorzenionych głęboko instytucjach demokratycznych. Mówi się o kryzysie amerykańskiego, europejskiego i japońskiego modelu kapitalizmu. Łącząc więc dwa powyżej sformułowane problemy, zadać można pytanie o podwójny związek między demokracją a kryzysem: nie tylko na ile kryzys zagraża demokracji, lecz także na ile demokracja, taka, jaką znamy z codziennego doświadczenia świata zachodniego, jest jednym z istotnych źródeł obecnego kryzysu.

Zacznę jednak od przeglądu głównych punktów geograficznych, w których na różne sposoby problem relacji między kryzysem a demokracją obecnie się pojawił. Ze zrozumiałych względów skoncentruję uwagę przede wszystkim na Europie. Problem relacji między demokracją i kryzysem w Europie staje przed nami zarówno na poziomie narodowym, jak i na poziomie Unii Europejskiej. Pojęcie „deficytu demokratycznego” w Unii jest dziś mniej używane niż dziesięć czy piętnaście lat temu, ale problem braku skutecznych mechanizmów demokracji na poziomie wspólnoty jest obecnie postrzegany bardziej dramatycznie niż w przeszłości. Problem relacji między demokracją a kryzysem jest też przedmiotem refleksji, jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone. Chcę też poświęcić nieco uwagi Chinom i modelowi autorytarnej modernizacji. Wreszcie trudno nie zastanawiać się współcześnie nad fenomenem Arabskiej Wiosny, gdzie kwestia relacji między demokracją a kryzysem i rozwojem jest również silnie obecna, chociaż w odmienny sposób niż w wymienionych przedtem przypadkach.

Freedom House, prestiżowa, niezależna instytucja w Stanach Zjednoczonych, publikuje co roku mapę i ocenę stanu demokracji na świecie. Na początku 2011 r., w przededniu poważnych zmian w krajach arabskich, ukazał się ostatni raport Freedom House, niezwykle pesymistyczny, jeżeli chodzi o ocenę stanu demokracji na świecie. Tezą podstawową raportu było stwierdzenie o pogorszeniu się jej sytuacji. Regres demokracji miał następować już od pięciu lat. Od momentu, kiedy Freedom House zaczęło 40 lat temu swoje raporty publikować, miała to być pierwsza tak głęboka negatywna sekwencja. Konkluzja raportu brzmiała zaskakująco. Po 1989 r., kiedy wybuchła wolność w naszym regionie, kiedy załamał się blok radziecki, kiedy w 1991 r. rozpadł się sam Związek Radziecki, dominował niezwykle optymizm. Zwłaszcza że procesy demokratyczne zachodziły również na innych kontynentach – wspomnijmy choćby o wyjątkowym zjawisku demokratyzacji Afryki Południowej. Ówczesne zmiany znalazły intelektualną, najbardziej wówczas popularną interpretację w książce Francisa Fukuyamy, która głosiła koniec historii i która potem była niejednokrotnie bezzasadnie wyśmiewana. Fukuyama miał na myśli koniec historii w sensie heglowskim, koniec dialektyki idei, to znaczy koniec zwalczania się, konfrontacji sprzecznych wizji ładu społecznego. Ostatecznie intelektualnie zwyciężyć miał ład liberalno-demokratyczny, dla którego, według autora, nie ma żadnej wiarygodnej alternatywy we współczesnym świecie. Tyle znaczył dla niego, jak u Hegla, koniec historii. Niedługo później, już w latach 90., pojawia się w krajach demokratycznych fala pesymizmu na temat walorów i losów liberalnej demokracji. Główne problemy widziano w tendencjach rozwoju kultury i postaw człowieka Zachodu. Pisano o egoistycznym indywidualizmie, zaniku projektów zbiorowych, niezdolności do myślenia w kategoriach długiego okresu, o hedonizmie jako postawie podbijającej Zachód od lat 60. Nie będę tych wątków rozwijał, one pojawiały się też często i w naszej konserwatywnej publicystyce ostatnich 20 lat. Warto jednak wspomnieć o specyficznej, wywodzącej się z Azji, krytyce świata demokratycznego, zogniskowanej na tzw. wartościach azjatyckich. Trwająca w latach 90. debata na ten temat wiąże się ściśle z problemem, jaki obecnie sta-

wiają przed nami Chiny. Popularyzatorzy owych „wartości azjatyckich” podkreślali obecny w nich kult wspólnoty, harmonii i hierarchii społecznej, przeciwstawionej indywidualizmowi, konfliktowości, hedonizmowi Zachodu.

Debata o „wartościach azjatyckich” przycichła, ale pojawiła się *implicite*, w nowej formie, w związku z niezwykłym sukcesem Chin i tym, co nazwano chińskim modelem rozwoju. Widziano w nim, często i na Zachodzie, ale przede wszystkim w licznych krajach rozwijających się i niedemokratycznych, zakwestionowanie szeroko obecnego przekonania, że rozwój i modernizacja we współczesnym świecie wiążą się ściśle z instytucjami demokratycznymi i z wolnym rynkiem. Nagle okazało się, że mamy kraj, który nie tylko nie reprezentuje tych wartości, ale który w swojej codziennej praktyce im zaprzecza, zastępując istotne elementy ideologii komunistycznej wartościami zaczerpniętymi z tradycji konfucjanizmu.

Upadek autorytetu demokratycznego Zachodu, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, wiązać można z reakcją na zamachy terrorystyczne 11 września 2001 r. w Nowym Jorku i Waszyngtonie, a później w paru miastach europejskich (przede wszystkim w Madrycie i Londynie). Największy wpływ negatywny na autorytet Zachodu wywarła polityka prezydenta Stanów Zjednoczonych George’a W. Busha po zamachu na World Trade Center w Nowym Jorku. Interwencja w Afganistanie miała autentyczne, szeroko rozumiane uzasadnienie w opanowaniu tego kraju przez talibów i Al-Kaidę – sprawcę zamachów – którą talibowie gościli. Natomiast interwencja w Iraku była zupełnie innym przypadkiem. Jeżeli państwo pamiętacie, główne argumenty na rzecz interwencji, do której i Polska się przyłączyła, dotyczyły – po pierwsze – zagrożenia związanego z posiadaniem przez Irak broni masowej zagłady. Okazało się to nieprawdą, nigdzie nie stwierdzono obecności owej broni. Ale można było jej obecność podejrzewać. Po drugie – a był to argument całkowicie pozbawiony podstaw – chodziło o rzekome terrorystyczne związki władz Iraku z Al-Kaidą. Ten argument był w sposób oczywisty od początku niewiarygodny, te dwa nurty obecne w krajach arabskich reprezentują bowiem radykalnie odmienne wizje ładu społecznego. Irak, rządzony

od dziesięcioleci przez partię Baas, ukształtowany był pod wpływem sekularnych idei europejskich, gdzie znaleźć można mieszkankę inspiracji socjalistycznych i faszystowskich. W każdym razie z islamem politycznym rządząca dyktatura nic nie miała wspólnego; wręcz przeciwnie, w Iraku zwalczano, więziono, mordowano islamistów, których Al-Kaida była skrajnym, terrorystycznym wcieleniem.

Al-Kaida był to (jest ciągle, choć zapewne w szczątkowej postaci) nihilistyczny, apokaliptyczny ruch, którego celem było odbudowanie kalifatu, wypędzenie cudzoziemców z ziem islamu i promowanie idei powrotu do klasycznej epoki islamu, w istocie do czasów Mahometa. Twierdzenie o jakimś spisku łączącym irackiego dyktatora z tą organizacją było od początku niewiarygodne i nigdy nie przedstawiono na to dowodów.

Trzeci argument, który uzasadniał interwencję – w praktyce najpoważniejszy – miał charakter geopolityczny i ideologiczny. Jej celem miało być zaszczepienie w świecie arabskim idei demokratycznej, zbudowanie w Iraku państwa demokratycznego, które by swoim przykładem destabilizowało otaczające dyktatury i prowadziło do demokratycznej, przyjaznej Zachodowi transformacji świata arabskiego. Główny argument w wymiarze geopolitycznym wywodził się z idei Immanuela Kanta, iż narody demokratyczne nie prowadzą ze sobą wojen. Innymi słowy – idea popularyzowana przez tzw. neokonserwatystów i głosząca, że jeśli chcemy zapobiec niebezpieczeństwu konfliktów regionalnych, a być może i globalnych, ze względu na strategiczne znaczenie Bliskiego Wschodu, to trzeba doprowadzić do przemian demokratycznych i modernizacji w tym wybuchowym regionie. Interwencja w Iraku, która odniosła sukces w swojej fazie początkowej, okazała się katastrofą ze względu na zastosowane brutalne metody eliminacji starych elit oraz rozpędzenie wojska. Przyszłość Iraku pozostaje niepewna, podobnie zresztą jak i Afganistanu, ale skutkiem operacji wojennych Stanów Zjednoczonych i sojuszników był poważny spadek *soft power* – „miękkiej potęgi” Zachodu, która opiera się nie na sile czy potędze ekonomicznej, lecz na autorytecie, wpływie wzorów kulturowych, instytucjonalnych i prawnych. Zastosowana tam metoda szerzenia demo-

kracji zachodniej była postrzegana szeroko na świecie jako nowe wcielenie realizacji zachodniej idei imperialnej, a nie popularyzowania wartości, które są utożsamiane na Zachodzie z ideą demokracji, państwa prawa i obrony praw człowieka.

Wymieńmy jeszcze jeden czynnik, który przyczynił się paradoksalnie do schyłku autorytetu zachodnich demokracji po wielkim ich tryumfie roku 1989. Chodzi o interesujące zjawisko, które rzadko jest analizowane: paradoksalnego wpływu istnienia bloku sowieckiego na konsolidację i wewnętrzną dynamikę państw demokratycznych. Związek Radziecki, źródło zagrożenia zewnętrznego i częściowo wewnętrznego (poprzez lokalne partie komunistyczne), pełnił równocześnie pewną funkcję kontrolną, jeżeli chodzi o wewnętrzne procesy krajów demokratycznych. Samo istnienie zewnętrznego zagrożenia ze strony Moskwy sprzyjało silnej więzi krajów demokratycznych, osłabiając tendencje odśrodkowe. Już w czasie wojny w Iraku widzieliśmy koniec tej epoki, głębokie podziały demokratycznego Zachodu, które przedtem, w czasach „zimnej wojny”, były nie do pomyslenia. Symbolem stał się tu bunt Francji i Niemiec przeciwko interwencji w Iraku. Istnienie świata komunistycznego było również czynnikiem kontrolnym, jeżeli chodzi o rozwiązania wewnętrzne, wewnętrzne konflikty w świecie demokratycznym. Sama obecność alternatywy komunistycznej, mitu panującej tam równości i pełnego zatrudnienia, idea planowania – świadomego kształtowania losów wspólnoty – przeciwstawiona dyktatowi rynku i nieprzewidywalnej koniunkturze, skłaniały do szukania społecznych kompromisów, rozbudowy państwa opiekuńczego oraz prowadzenia polityki pełnego zatrudnienia. Wraz z upadkiem Związku Radzieckiego mamy do czynienia z pełnym zwycięstwem polityki neoliberalnej, utożsamianej z nazwiskami prezydenta Ronalda Reagana i premier Margaret Thatcher. Polityka ta ma źródła w kryzysie lat 70. – od wtedy też datuje się stopniowy demontaż tradycyjnego państwa opiekuńczego – ale w latach 90. i na początku naszego wieku polityka ta przeżywa apogeum. Obecność Związku Radzieckiego – wroga zewnętrznego – sprzyjała też wewnętrznej politycznej integracji systemów demokratycznych. Nie jest sprawą przypadku, że wielkie politycz-

ne afery korupcyjne wybuchają na Zachodzie po upadku ZSRR. Skrajnym przypadkiem były tu Włochy, gdzie dotychczasowy system polityczny całkowicie się załamał. Opinia publiczna, gdy zniknęło zagrożenie zewnętrzne (i w przypadku Włoch potężnej Partii Komunistycznej) czujniej zaczęła przyglądać się funkcjonowaniu własnych systemów demokratycznych. Z tym też wiązał się zarazem upadek ich autorytetu.

Od początku 2011 r. mamy niespotykany od dawna przypływ optymizmu historiozoficznego, jeżeli chodzi o losy demokracji, w związku z tym, co się dzieje w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Wydawało się, że kraje arabskie to jedyny region całkowicie odporny na tendencje demokratyczne oraz na liberalną modernizację w gospodarce. Po polskim Okrągłym Stole, po przemianach w Europie, mieliśmy falę demokracji w różnych regionach świata: w Ameryce Łacińskiej, w Azji, w Afryce. Jedyny region, którego ta fala nie dotknęła, to kraje Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Obraz ten uległ radykalnej zmianie wraz z pokojową rewolucją w Tunezji, a później w Egipcie, oraz demonstracjami rewindykującymi wolność, sprawiedliwość i demokrację w całym prawie regionie, wraz z wybuchem otwartego konfliktu w Libii, prowadzącym do interwencji Francji i Wielkiej Brytanii z poparciem USA przeciw dyktaturze Kaddafiego, oraz prawdziwą wojną domową w Syrii. Cały świat pozostawał pod wrażeniem tego, co się w świecie arabskim działo i w dużym stopniu jeszcze dzieje. Wrażenie robił przypływ dumy, manifestowana godność arabskich tłumów, które dowodziły uniwersalnego charakteru takich wartości, jak: godność człowieka, potrzeba sprawiedliwości, równość między kobietami i mężczyznami, pragnienie samostanowienia poprzez demokratyczne formy organizacji życia zbiorowego. W znanych międzynarodowych badaniach porównawczych Ronalda Ingleharta, przeprowadzonych przed paru laty na temat wartości, demokracja i wolność jako wartości nie były w świecie arabskim niżej usytuowane niż w krajach rozwiniętej demokracji. Istotna różnica dotyczyła jedynie stosunku między kobietami i mężczyznami, problemu ich równych praw, kwestii obyczajowych. I oto mamy wielki ruch w świecie arabskim, w którym – wydawać

by się mogło – ta kulturowa odmienność jest odrzucana.

Interesującym zjawiskiem jest widoczne poczucie zagrożenia wolnościowym przesłaniem płynącym z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej w dyktaturach bardzo nawet geograficznie i cywilizacyjnie odległych. W Chinach podejmuje się próbę kontroli Internetu dla ograniczenia informacji płynących ze zrewoltowanych regionów świata. Widać też, jak czuje się zagrożona władza w Rosji. Putin otwarcie oskarżał Amerykę i, szerzej, Zachód o sprowokowanie rewolt w świecie arabskim.

Dla refleksji o znaczeniu Arabskiej Wiosny dla globalnych losów demokracji ważna jest analiza pewnych cech specyficznych występujących tam ruchów masowych. Zresztą wiele je pod tym względem łączy z ruchami protestu młodzieży, które na masową skalę objęły świat rozwinięty – powołując się zresztą na doświadczenia arabskie – Grecję i Izrael, Wielką Brytanię i Hiszpanię, Stany Zjednoczone i Portugalię. U nas wystąpił specyficzny ruch protestu przeciw ACTA (*Anti-Counterfeiting Trade Agreement*), odbieranej jako globalna próba zwalczania wolności słowa w imię interesów wielkich firm komercyjnych. Ograniczę się tutaj do paru ogólnych uwag. Fascynowała wszystkich obserwatorów rola nowoczesnych środków elektronicznej komunikacji w organizacji ruchów zbiorowych na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Niezwykła była tu rola Internetu, szczególnie Twittera. Manifestujące się działania zbiorowe – rzecz w historii bez precedensu – były pozbawione przywódców, jakichkolwiek struktur organizacyjnych czy ideologii. To był po prostu samotny tłum, który swoją samotność przezwyciężał we wspólnym proteście przeciwko dyktaturze, która była istotnym źródłem owej samotności, w zbiorowej afirmacji najogólniej formułowanych, bliskich zebranym wartości. Ale jak doświadczenia pokazały, ów tłum złożony głównie z ludzi młodych, wywodzących się z klasy średniej, przy dużym udziale kobiet, wpływając w istotnym stopniu na obalenie szeregu dyktatur, nie był w stanie przekształcić się w masowy ruch, w znaczącą formację polityczną, nie potrafił wyłonić przywódców ani sformułować atrakcyjnej dla dużej części ludności ideologii.

Jeżeli retrospektywnie spojrzymy na to, co się działo i dzieje w świecie arabskim, to być może aspektem radykalnych zmian, który najbardziej odcisnie się na historii świata arabskiego, najbardziej zostanie zapamiętany, nie jest ów wielki ruch protestu, o charakterze demokratycznym i w dużym stopniu liberalnym, pierwszej fazy rewolucji arabskich. Najważniejszym wymiarem owych rewolucji może okazać się ostateczne zwycięstwo islamizmu, politycznego ruchu odwołującego się bezpośrednio do islamu, przepowiadane zresztą przez upadających dyktatorów, takich jak Hosni Mubarak. Oczywiście, jest to zupełnie inny islamizm – wewnątrznie zresztą zróżnicowany – niż ten, który reprezentowała Al-Kaida. Jest on bardziej otwarty, gotowy na mariaż z modernizacją, zapewne też z jakąś formą demokracji. W różnych krajach odmiennie będzie wyglądał, sądzić można, kompromis islamu z nowoczesnym światem. W każdym razie można pokusić się o sformułowanie tezy, że ważnym aspektem radykalnych zmian w świecie arabskim był i jest bunt przeciwko dziedzictwu wpływów Zachodu, których nośnikiem i symbolem były władze autorytarne rządzące regionem przez dziesiątki lat. Te sekularne dyktatury, które od Nassera po Mubaraka rządziły Egiptem, które w innej nieco formie kontrolowały Irak i Syrię oraz w Afryce Północnej Algierię, Tunezję i Libię, powstały na fali buntu przeciwko kolonialnemu dziedzictwu Zachodu. Reżimy te, zapatrzone u swych początków we wzór sowiecki, prowadziły do etatyzacji i militarzacji gospodarki, przy okazji radykalnie ją korumpując, centralizowały niesprawną administrację, ale też poprawiały los kobiet, walcząc z ich dyskryminacją, przyczyniały się do kształcenia nowych pokoleń, chociaż nie zapewniały im pracy i przygotowywały w ten sposób bunt, który mamy przed oczyma. Niezwykle istotnym wymiarem zmian, które te dyktatury przeprowadzały, było – niezgodne z tradycją islamu, chociaż obecne już w takich krajach przez tę religię zdominowanych, jak choćby Turcja – oddzielenie sfery *sacrum* od sfery *profanum*, religii od sfery publicznej, zwłaszcza od polityki, z reguły przy prześladowaniu partii islamistycznych. Procesy, które zachodzą obecnie, można interpretować jako rewoltę przeciwko dyktaturze, ale też jako rewoltę przeciwko wpływom Zachodu,

jako wyraz woli powrotu do tradycji islamu i ponownego zintegrowania: polityki, religii, kultury oraz życia społecznego. W kolejnych wyborach: w Maroku, Tunezji i Egipcie, zwyciężają islamisci. Sukces odnoszą nie tylko względnie obecnie umiarkowani Bracia Muzułmanie, którzy zdają się akceptować istotne elementy demokracji, lecz także znacznie bardziej radykalni, politycznie do niedawna nieistniejący, salafiści, zwolennicy islamu fundamentalistycznego.

Być może dynamika nowoczesności i kontakty z prawdziwą polityką, z którą islamisci dotychczas nie mieli do czynienia, będą ich pchały ku demokracji, większej tolerancji dla odmiennie myślących, do akceptacji równouprawnienia kobiet. Nie jest to jednak wcale pewne. Ale nie można też wykluczyć, że kolejne zwycięstwa islamistów nie są wyrazem tęsknoty Arabów do przywrócenia integralności religii, polityki i kultury, tylko konsekwencją pustki społecznej pozostawionej przez dyktaturę, w której słychać było jedynie odmienny głos islamistów, podejmujących się również – ważny aspekt działań Braci Muzułmanów – działalności społecznej, opiekuńczej i edukacyjnej często w najuboższych regionach Egiptu czy Tunezji. Przy takiej hipotezie faza dominacji islamistów może się okazać krótkim okresem przejściowym w procesie tworzenia podstaw nowoczesnego, pluralistycznego społeczeństwa. A może synteza islamizmu i demokracji jest nieuchronnym etapem rozwoju, modernizacji tych krajów i swoista forma demokracji, w której rozdział *sacrum* od *profanum* nie będzie tak wyrazisty ani tak radykalny, jak w krajach Zachodu, tam się dopiero wyłoni. W każdym razie żywe do niedawna nadzieje, iż oto świat arabski łączy się w swych zasadniczych wyborach ustrojowych z krajami liberalnej demokracji, nie wydają się uzasadnione. Coraz częściej słyszymy z ust publicystów i polityków formułę, że oto Arabska Wiosna ustąpiła miejsca arabskiej zimie.

O Chinach wspomnę tu tylko, bo choć wyzwanie, które stawiają światu i krajom demokratycznym ma charakter zasadniczy, to jego elementy są dość oczywiste. Istnieje wiele hipotez na temat tego, czy model chiński, który zapewnił systematycznie od 1979 r. dziesięcioprocen-
towe tempo wzrostu gospodarczego, ma szansę dalszego długiego trwania. Towarzyszy im czę-

sto stawiane pytanie: czy można utrzymać stabilność wewnętrzną, pokój społeczny tak ogromnego i zróżnicowanego wewnętrznie kraju przy tak głębokich zmianach, równocześnie utrzymując zasadnicze zręby dyktatury. W każdym razie niewiarygodny dotychczasowy sukces pozwolił uratować od głodu setki milionów Chińczyków, zapewnił też prawdziwy awans materialny innym setkom milionów Chińczyków, którzy żyją obecnie w stanie względnej zamożności. Trzeba także widzieć pewną ewolucję samego reżimu i jego poszukiwania większej wewnętrznej elastyczności. Na pewno Chiny dalekie są od jakiegokolwiek formy demokracji, ale też daleko odszły od komunizmu czasów Mao Zedonga.

Przejdźmy do tego, co nam jest najbliższe, czyli do Zachodu, do Stanów Zjednoczonych i Europy. Zaczniemy od Stanów Zjednoczonych, które były od dawna wzorem demokracji, skuteczności, niezwyklego dynamizmu i kreatywności. Podziw budziła i budzi – mimo kryzysu ostatnich lat – gospodarka USA. Również demokracja amerykańska była podziwiana w Europie przynajmniej od czasu wielkiego dzieła Alexisa de Tocqueville'a. Obecnie jednak również ta demokracja napotyka na istotne problemy. Amerykańska demokracja opierała się zawsze – często różniąc się pod tym względem od europejskich – na pewnym pesymizmie co do natury ludzkiej, na założeniu, że natura ludzka może prowadzić nie do dobra, lecz do zła, i dlatego w systemie politycznym musi istnieć system zabezpieczeń przed ujawnianiem się owych negatywnych skłonności. Instytucjonalnym wyrazem tego jest tzw. *check and balance* – równoważenie się, wzajemna kontrola różnych organów władzy: urzędu prezydenta, dwóch izb parlamentu, wreszcie wynika stąd wielka waga niezależnego Sądu Najwyższego. Równowaga między tymi instytucjami, czasami konfliktowa, realizowana mimo pewnych napięć, jest warunkiem elastyczności systemu, trwałości instytucji demokratycznych i możliwości dokonywania w nim koniecznych zmian. Poza systemem *check and balance* podstawą równowagi i skuteczności amerykańskiej demokracji jest gotowość do zawierania kompromisów między konkurującymi partiami i między instytucjami państwa. Otóż mamy obecnie do czynienia z praktycznym zablokowaniem instytucji amerykańskiej

demokracji w wyniku radykalnej postawy części Partii Republikańskiej, tzw. partii herbacianej, *Tea Party*. Republikanie kontrolują Senat, podczas gdy zarówno prezydent Barack Obama, jak i większość Izby Reprezentantów wywodzi się z Partii Demokratycznej. Otóż normalnie w takiej sytuacji, w tradycji amerykańskiej leży poszukiwanie kompromisu między różnymi ośrodkami władzy. Zasada poszukiwania kompromisu została jednak zakwestionowana przy negocjowaniu budżetu USA w 2011 r., w sytuacji kryzysu finansów publicznych, który tak jak Europę, dotknął również USA. Partia Republikańska, pod wpływem radykalnej *Tea Party*, odmówiła zgody na kompromis; finanse Stanów Zjednoczonych stały się zakładnikiem mniejszościowej, radykalnej opozycji. W skrócie można powiedzieć, że Partia Demokratyczna i prezydent Obama próbowali ratować finanse publiczne poprzez podwyżki podatków, przede wszystkim obłożenie nimi 1% najbogatszych obywateli, a jak dowodzi Paul Krugman, wybitny ekonomista liberalno-lewicowy, w istocie chodzi o 0,2% ludzi niezwykle majątnych, przy ogromnym wzroście w ciągu ostatnich 30 lat nierówności dochodowych w USA. Zarazem Obama godził się na istotne ograniczenie wydatków państwa, m.in. tych, których wzrost był wynikiem działań jego administracji. Partia Republikańska chciała ograniczyć się do cięcia wydatków, bez ruszania najwyższych nawet dochodów, bez kwestionowania zwolnień podatkowych przeprowadzonych przez administrację George'a W. Busha w trakcie kosztownych działań wojennych na dwóch frontach. Była to samobójcza dla finansów publicznych, bezprecedensowa polityka, która jest jednym ze źródeł obecnych poważnych problemów finansowych Stanów Zjednoczonych. Obama chciał przywrócić przynajmniej część tych podatków. Republikanie chcieli wyłącznie ciąć wydatki państwa na cele socjalne, zdrowie, edukację itd. Kompromisowa propozycja Obamy spotkała się z odmową drugiej strony i w istocie z blokadą procesu decyzyjnego. Było to postępowanie tak sprzeczne z tradycją amerykańską, że wielu polityków i intelektualistów konserwatywnych publicznie głosiło, iż zachowanie Partii Republikańskiej, w tym przede wszystkim *Tea Party*, jest sprzeczne z Konstytucją i z obyczajami demokratycznymi. Obecna sytuacja, któ-

rej wyrazem była powyżej opisana blokada, odzwierciedla niezwyklej polaryzację i ideologizację życia politycznego w USA, których źródeł szukać trzeba zapewne w latach 90., w czasach prezydentury Billa Clintona.

Przejdźmy do problemów Europy, a bardziej precyzyjnie do sytuacji w Unii Europejskiej. Mówiło się już od dawna o „deficycie demokratycznym” w Unii Europejskiej, mając na myśli fakt, iż o ile demokracja występuje na poziomie państw członkowskich, o tyle instytucje Unii Europejskiej jako całości nie mają odpowiedniego zakorzenienia w demokratycznie wyrażonej woli obywateli Unii. Unia od początku była projektem elit i kolejne zmiany w niej wprowadzane były wyrazem woli elit. Przez szereg dziesięcioleci społeczeństwa akceptowały kolejne kroki ku integracji, które stanowiły bardziej odpowiedź na strach przed przeszłością niż na wyzwania przyszłości; były odpowiedzią na strach przed wojną, przed zagrożeniem totalitaryzmem, radykalnym nacjonalizmem, przed Związkiem Radzieckim i destabilizującym powrotem wielkich Niemiec na europejską scenę. Od lat 90. czyniono wiele, aby pogłębiać demokrację w instytucjach UE, zwiększano kompetencje parlamentu i prawa obywateli. Równocześnie w samej UE istnieją mechanizmy, które blokują możliwość demokracji. Zresztą elity polityczne państw narodowych, mimo przeciwnej retoryki, nie są tym, jak się zdaje, szczególnie zainteresowane, obawiając się utraty części władzy.

Teza o deficycie demokratycznym Unii brzmi paradoksalnie i jest zresztą kwestionowana przez część obserwatorów. Członkowie Parlamentu Europejskiego są wybierani w wyborach bezpośrednich w krajach członkowskich, Rada Europejska składa się z demokratycznie wyłonionych premierów bądź prezydentów wszystkich państw członkowskich, w Komisji Europejskiej zasiadają komisarze reprezentujący wszystkie państwa Unii i zaakceptowani przez Parlament Europejski. Gdzie więc dostrzec można ów deficyt? Na pewno rolę w takiej percepcji odgrywa wielki dystans oddzielający pół miliarda obywateli Unii od organów decyzyjnych wspólnoty. Dla tezy o owej „luce” istotny jest brak przejrzystości procesów decyzyjnych w UE, które są wynikiem złożonych negocjacji w ramach administracji unijnej oraz z pań-

stwami członkowskimi. Te dwa powody tłumaczą zapewne niską frekwencję w wyborach do Parlamentu Europejskiego we wszystkich krajach członkowskich. Choć zasadnicze znaczenie mają tu zapewne ograniczone kompetencje tego parlamentu. Podstawowy powód owego „deficytu” leży jednak, jak się wydaje, gdzie indziej. W ramach Unii nie istnieje w istocie to, co jest esencją tradycyjnych mechanizmów demokratycznych: możliwość dokonywania wyborów między alternatywnymi projektami zasadniczych decyzji, w tym tych o charakterze konstytucyjnym. Jest to w jakimś sensie demokracja bezalternatywna. Najbardziej skrajnego przykładu dostarczają referenda, przewidziane przez konstytucje różnych krajów. Otóż wielokrotnie mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której większość obywateli poszczególnych krajów członkowskich głosowała w referendach przeciwko przyjęciu jakiegoś traktatu i w istocie – pod pretekstem marginalnej modyfikacji propozycji – były one zmuszane do ponownego głosowania, aby można było uzyskać akceptację tekstu popieranego przez zdecydowaną większość krajów. Tak rzecz się miała np. w przypadku Irlandii w związku z Traktatem Lizbońskim. Gdy jednak projekt konstytucji Unii przegrał w referendum we Francji i w Holandii, został odrzucony, jakkolwiek w zasadniczym swoim kształcie znalazł się w Traktacie Lizbońskim, o którym wspominałem. Poza Irlandią, gdzie istnieje obowiązek konstytucyjny, Traktat ten nigdzie nie został poddany referendum; był on przyjęty przez parlamenty narodowe. Taki charakter procesu politycznego wynika ze struktury polityki Unii. Nie mamy w istocie do czynienia z konfrontacją różnych obozów ideowych i politycznych i odmiennych koncepcji rozwiązywania problemów Unii, lecz z permanentnym procesem negocjacji, docierania się różnych punktów widzenia, koncepcji, interesów. W dwóch głównych instytucjach Unii, Radzie Europejskiej i Komisji Europejskiej, mamy ludzi, którzy reprezentują różne kraje, a zarazem odmienne tendencje ideowe i interesy. Innymi słowy, nie ma tu możliwości organizowania procesu politycznego podejmowania decyzji, zgodnego z normami obowiązującymi we wspólnotach demokratycznych. Inny, poruszający, względnie świeży przykład naruszania norm demokratycznych Unii,

dotyczy problemu wymuszenia zmiany premiera Grecji Papandreu i Włoch Berlusconiego przez władze Unii, prezydenta Sarkozy'ego i kanclerz Merkel. Decyzja była merytorycznie na pewno słuszna, obaj przywódcy nie byli bowiem w stanie przeprowadzić w swoich krajach koniecznych reform, do których upadku walnie się przyczynili, tak że i Francja, i Niemcy stały się źródłem poważnych zagrożeń dla całej Unii. Ale racjonalność zmiany nie podważa faktu, że w ten sposób została zakwestionowana suwerenność dwóch państw członkowskich i procedury demokratyczne obu krajów. Jak wyjść z tej kwadratury koła? Jak można kwestionować demokrację państw członkowskich i zarazem jak można jej nie kwestionować, gdy w grę wchodzi interesy całej wspólnoty i być może również obrona demokracji w całej wspólnotie? Załamanie euro i gospodarki Unii może bowiem prowadzić do radykalizacji politycznej, rozlania się fałi populizmu, która może zagrozić politycznej stabilności instytucji demokratycznych państw członkowskich Unii. To dylemat, który bardzo trudno rozwiązać. Zapewne rozwiązanie mogłaby przynieść głębsza integracja polityczna Unii Europejskiej. Federacja – Stany Zjednoczone Europy – kiedyś ideał ojców założycieli wspólnoty, dziś wydaje się coraz bardziej koniecznością dla rozwiązania dramatycznych problemów Unii związanych z kryzysem bankowym, finansowym i ekonomicznym Unii, które coraz szerzej są postrzegane jako wynik i wyraz głębokiego kryzysu politycznego wspólnoty. Wzrastająca na poziomie elit świadomość koniecznej integracji politycznej – tego m.in. wyrazem było znane wystąpienie ministra Radosława Sikorskiego w Berlinie w listopadzie 2011 r., gdzie zabrał on głos jako zdecydowany federalista – napotyka na powiększającą się przeszkodę w postaci opinii publicznej krajów członkowskich, która odwraca się coraz bardziej od projektu europejskiego. Towarzyszy temu wzrost animozji, sprzecznych interesów i negatywnych stereotypów między południem i północą Unii. Niesprawność mechanizmów decyzyjnych w Unii oraz ewolucja nastrojów społecznych tłumaczą w dużym stopniu niemożność znalezienia odpowiedzi na głęboki kryzys bankowy, kryzys euro, kryzys finansowy Unii. Mimo że UE jest znacznie mniej zadłużona niż USA i Japonia, tylko w przypad-

ku euro istnieje dramatyczne niebezpieczeństwo załamania się wspólnej waluty, załamania się w istocie całej Unii Europejskiej. Istotne źródło tkwi w niemożności ukształtowania jej jako wspólnoty demokratycznej, która by pozwalała na przewyciężenie uczucia obcości, nieufności i w istocie braku poczucia wspólnoty losu w narodach wspólnoty.

Na zakończenie rozważań o problemach demokracji w dobie obecnego kryzysu warto zwrócić uwagę na krytykę, którą formułują przedstawiciele Chin oficjalnych. Krytykują oni teraz z satysfakcją państwa demokratyczno-liberalne, które przez dziesięciolecia potępiały różne formy komunizmu i jego wersję pekińską. Jakie wady demokracji liberalnej eksponują chińscy krytycy? Otóż piętnują oni fakt, iż demokracja zachodnia, ze swoimi wyborami organizowanymi co parę lat, narzuca myślenie w kategoriach krótkiego okresu i częściowych interesów wybranych grup społecznych. Ze względu bowiem na cykl wyborczy i na interes polityków, którzy są przede wszystkim zainteresowani wygraniami kolejnych wyborów, myślenie strategiczne w kategoriach długiego czasu i wielości czynników wewnętrznych i zewnętrznych jest bardzo trudne. Przykładem służą nasze wybory do parlamentu na jesieni 2011 r. Przez poprzednie cztery lata rząd Platformy Obywatelskiej był często krytykowany za niepodejmowanie reform koniecznych dla rozwoju kraju. W sposób oczywisty podstawową przyczyną konserwatywnego zachowania rządu Donalda Tuska było myślenie już o następnych wyborach i niechęć do antagonizowania jakiegokolwiek grupy wyborców. Strategia z tego punktu widzenia okazała się skuteczna. I nie jest sprawą przypadku, że w listopadowym *exposé* premier Tusk zapowiedział znacznie więcej zmian niż w ciągu czterech poprzednich lat swoich rządów. Teraz ma on perspektywę trzech lat bez żadnych wyborów, może więc pozwolić sobie na polityczne ryzyko w imię spraw, które wykraczają daleko poza wąską polityczną kalkulację. Dyktatura, która nie musi planować swoich działań ze względu na konieczność zdobycia poparcia wyborców, ma teoretycznie większe możliwości planowania strategicznego. Oczywiście, większość dyktatur jest skorumpowana i niezdolna do myślenia w kategoriach interesu wspólnego w długim

okresie. Chiny stanowią raczej wyjątek, chociaż wielu specjalistów wyraża się dość sceptycznie o dalszej perspektywie utrzymania obecnego, wysokiego tempa wzrostu i zarazem społecznej stabilności – w warunkach szerzącej się skądinąd korupcji.

W sytuacjach kryzysowych, które wymagają często szybkich i odważnych decyzji, mechanizmy demokratyczne zdają się ujawniać wady, których nie można dostrzec w czasach normalnych. W tym tkwi istotna przyczyna rosnącego poparcia dla partii skrajnych w obliczu kryzysu. Odpowiedzią demokracji może być tylko bardziej stanowcze, zdecydowane poszukiwanie porozumienia, kompromisów między różnymi siłami politycznymi i grupami społecznymi, z myślą o interesach całej wspólnoty, wpisanej w długi czas. Czy można jednak liczyć na to w obecnych warunkach funkcjonowania demokracji, z rosnącą w wielu krajach polaryzacją polityczną, z ogromną rolą mediów w procesie podejmowania decyzji – z ich niekończącym się strumieniem informacji, ograniczającym pole swobody polityków – i częstych badań opinii publicznej na temat popularności partii i polityków, które zmuszają do nieustannego myślenia o kolejnych wyborach? To jest kolejny argument Chińczyków przeciwko regułom demokratycznym.

Kryzys w państwach demokratycznych wiąże się z nie od dziś już trwającym kryzysem państwa dobrobytu. Po wojnie został ustanowiony w krajach zachodnich kompromis społeczny między pracą a kapitałem, między procesem demokratycznym a procesem rynkowym. Nie dominuje w nich całkowicie proces rynkowy i kryteria czysto ekonomiczne sukcesu; istotną rolę kontrolną odgrywa proces demokratyczny, konieczność zdobycie poparcia większości, dla której ważne są aspiracje materialne, kulturowe i statusowe obywateli różnych kondycji. Większość w każdym kraju demokratycznym stanowią ludzie usytuowani na dole i w środku hierarchii społecznej. Od połowy lat 70. widzimy w oczywisty sposób kryzys państwa dobrobytu, który przejawia się w tym, że ustanowiony po wojnie kontrakt społeczny ulega zakwestionowaniu, w wyniku istotnego spadku tempa rozwoju gospodarczego (opieram się tu na analizach Wolfganga Streecka z Instytutu Maxa Plancka).

Przejawem tego kryzysu była silna presja inflacyjna lat 70., która w sensie społecznym oznaczała w istocie rozwiązywanie obecnych konfliktów społecznych – które w czasie powojennych dziesięcioleci łagodziło wysokie tempo wzrostu – kosztem zapożyczania się u przyszłych pokoleń. Gdy inflacja zaczęła zagrażać społecznej stabilności i dalszemu rozwojowi, pojawiła się druga forma ucieczki przed konfliktami społecznymi w postaci masowego zadłużenia państwa. Gdy i ono napotkało na bariery zagrażające funkcjonowaniu państwa i dalszemu rozwojowi, który jest głównym mechanizmem rozwiązywania konfliktów społecznych, gdy i ten mechanizm spychania na przyszłe pokolenia dzisiejszych problemów zaczął zawodzić, pojawił się kolejny, powiedziec można – wczorajszy, sposób radzenia sobie z konfliktem powstającym w procesie dystrybucji dochodów w krajach liberalnej demokracji. Socjolog brytyjski Colin Crouch nazwał go „sprywatyzowanym keynesizmem”. W tej fazie następowało przesunięcie długu ze sfery publicznej do sfery prywatnej. Powszechna dostępność kredytu, niemal za darmo, przyczyniła się walcie do powstania owych, często opisywanych balonów zadłużenia. Ta polityka leżała bezpośrednio u źródeł wybuchu kryzysu w USA, Hiszpanii czy Irlandii. „Sprywatyzowany keynesizm” pozwala na rozwiązanie konfliktów społecznych, będących skutkiem ogromnego pogłębienia się społecznych nierówności w ostatnich dziesięcioleciach. Kompensowano te nierówności, dofinansowując niejako warstwy niższe i średnie poprzez możliwość uzyskania przez nie bardzo taniego kredytu, który pozwalał na sztuczne podniesienie ich konsumpcji – zapożyczania się w banku na budowę domu czy kupowanie mieszkań – kosztem przyszłości. Teraz znajdujemy się w momencie kryzysu tej fazy i nie wiemy jeszcze, jaki będzie następny etap, jakie będzie rozwiązanie problemów, napięć, które istnieją między rynkiem a demokracją, między gospodarką a procesem politycznym. Nie jest więc sprawą przypadku, że ten kryzys najbardziej objawia się w krajach rozwiniętych demokracji. Pewne jest tylko to, że rozwiązanie owych konfliktów i prowokowanych przez nie kryzysów osiągnąć można wyłącznie w procesie demokratycznym. Ale też wydaje się pewne to, że

mechanizmy demokracji wymagają przebudowy. Dziękuję państwu za uwagę.

Andrzej Antoszewski

Chciałem także zacząć od podziękowań za zaproszenie mnie tutaj. I chciałbym przeprosić, że mając piętnaście minut czasu, nie jestem w stanie wygłosić klasycznego koreferatu do bardzo inspirującego wystąpienia pana profesora Smolara. Chciałbym się tutaj ograniczyć do jednego pytania: co kryzys oznacza dzisiaj dla młodych demokracji Europy Środkowej i Wschodniej? Mimo wszystko my jesteśmy w trochę innej sytuacji niż dojrzałe, rozwinięte kraje Europy Zachodniej, aczkolwiek występują tutaj także pewne cechy wspólne. Jeśli popatrzymy sobie na ostatnie dwa lata, 2010 i 2011 – lata wyborcze, to rzuca się w oczy pasmo klęsk partii rządzących, które przegrywały zarówno w Europie Zachodniej, jak i w Europie Środkowej i Wschodniej. Wyniki wyborów w Irlandii, Hiszpanii czy Portugalii przyniosły dramatyczną klęskę partii rządzących do tej pory. W spektakularny sposób zmuszeni zostali do odejścia premierzy Grecji i Włoch. Wyniki wyborów w Słowenii, na Węgrzech i w Czechach pokazały także, jak tracą na kryzysie partie, które sprawowały władzę w krajach nienależących do strefy euro. Także uważany za pewniaka w rywalizacji wyborczej Władimir Putin ma problemy ze swoim zapleczem partyjnym, bo nawet jeśli oficjalne wyniki są prawdziwe, to jednak pokazują, że poparcie dla Jednej Rosji jest znacznie niższe, niż się spodziewano. Nie jest to czas dobry dla tych, którzy rządzą. Na tym tle warto popatrzeć na przypadek Polski i docenić to, że rządzącym udało się po raz pierwszy, w tak skomplikowanej sytuacji, utrzymać władzę.

Niemniej powstaje od razu pytanie, jak mamy interpretować te wydarzenia. Z jednej strony powiada się, że stanowią przejaw kryzysu demokracji. To prawda – jest to niewątpliwie świadectwo kryzysu. Ale można postawić sprawę inaczej. Może jest to świadectwo zdrowia mechanizmu demokratycznego? Bo przecież demokracja to nic innego jak możliwość odsunięcia bez przemocy rządzących, których polityka została społecznie zdezaprobowana. To się właśnie stało, to jest naturalny mechanizm odrzucania rządzących i być może w ogóle z tego po-

wodu nie należałoby załamywać rąk. Z drugiej strony mamy jednak do czynienia z pewnymi zjawiskami, stwierdzanymi w badaniach, dotyczącymi tego pogarszania się stanu demokracji. Pan profesor powoływał się na wyniki Freedom House, zwłaszcza jeśli chodzi o realizowany przez tę organizację program Nations in Transit, ale on pokazuje niestety tylko kraje młodych demokracji i nie daje możliwości porównań z aktualnym stanem demokracji uważanych za stabilne. Natomiast brytyjski *The Economist* ogłosił po raz trzeci rezultaty badań dotyczące demokracji w świecie, z których wynika, że stan tego ustroju także w krajach uznanych za zaawansowane demokracje, zwłaszcza w Europie, również uległ pogorszeniu. I co jest bardzo ciekawe: w ostatnich badaniach *The Economist* obniżono rangę na tej skali jednej demokracji wschodnioeuropejskiej, tj. Słowenii, która przeszła o klasę niżej, i dwóm zachodnioeuropejskim, tj. Francji i Włochom, gdzie uznano, że np. poziom zaufania do instytucji i aprobaty dla idei demokracji uległ takiemu obniżeniu, że to już jest zaskakujące. Wydaje mi się, że można dodać zjawisko, które stwierdzamy tu w Europie wszędzie, może z wyjątkiem Europy Północnej, obniżania się poziomu frekwencji wyborczej, co można oczywiście różnie interpretować. Bez wątpienia jednak nie jest to przejawem wzrostu zaufania do systemu demokratycznego. System ten ma w sobie jedną istotną wadę: wbudowany jest weń mechanizm umożliwiający osiągnięcie legitymizowanego zwycięstwa demokratycznego siłom, które są demokracji wrogie i mogą ją unicestwić. To jest doświadczenie historyczne, które w Europie dobrze znamy – chodzi mi o Republikę Weimarską, ale wiemy, że to się powtarza, jeżeli weźmiemy pod uwagę choćby Algierię z roku 1991, czyli nie jest to tylko kwestia historyczna. Świadczą o tym wymownie sukcesy radykalnej prawicy w takich państwach, jak Szwajcaria, Belgia, Holandia, Szwecja czy Finlandia. Nie jest to jeszcze bezpośrednie zagrożenie demokracji, ale światło ostrzegawcze chyba się zapala.

Z drugiej strony w demokrację wbudowany jest mechanizm, który pozwala legitymizować ten system mimo braku bieżących dokonań ekonomicznych. Autorytaryzm broni się wtedy, kiedy zapewnia zaspokojenie potrzeb material-

nych na odpowiednim poziomie. Demokracja może się bronić także wtedy, kiedy tego nie zabezpiecza, ponieważ wentylem bezpieczeństwa jest możliwość odsunięcia rządzących. Ale częste odsuwanie rządzących, tak jak doświadczaliśmy tego w Polsce do 2011 r., gdzie każde wybory przynosiły zmianę ekipy rządzącej, oczywiście wpływa na obniżenie poziomu politycznej stabilności. I to jest również problem, który wymaga bardziej pogłębionej refleksji. Czy częste zmiany władzy są dowodem prawidłowego działania mechanizmu demokratycznego, czy jednak przejawem tego, że wzrasta społeczne zaufanie do demokracji jako pewnego typu systemu. Z analiz prowadzonych przez polskie ośrodki badania opinii publicznej czy przez Eurobarometr wynika jedno: że Europa Środkowa i Wschodnia różni się tym od Zachodniej, iż wprawdzie poziom aprobaty dla idei demokracji jest dość podobny, dość wysoki, ale już poziom aprobaty dla stwierdzenia, że w pewnych warunkach rządy niedemokratyczne są lepsze, jest w naszej części kontynentu znacznie wyższy. Chcę powiedzieć, że w Polsce badania te prowadzi się systematycznie i w ciągu ostatnich lat liczba zwolenników i przeciwników poglądu, że systemy niedemokratyczne mogą być w pewnych warunkach lepsze niż demokracja, jest mniej więcej równa. A w 2005 r., kiedy PiS obejmował władzę, liczba zwolenników tego poglądu dwukrotnie przewyższała liczbę przeciwników. To się w tej chwili wyrównało, ale to jest także pewne *signum*.

Bardzo niski jest poziom zaufania do instytucji politycznych, w tym przede wszystkim do partii. My dziś nie wyobrażamy sobie demokracji bez rywalizacji partii politycznych. Tam gdzie jej brak, jak na przykład w Rosji czy na Białorusi, mamy do czynienia z uwiązaniem demokracji. Można więc powiedzieć, że te bardzo niskie wskaźniki – w Polsce poziom zaufania do partii politycznych w ostatnich latach waha się między 3 a 10, dla porównania w Danii wynosi ponad 40 regularnie – są istotnym ostrzeżeniem. Dalej, w momencie gdy pojawia się kryzys, to zjawiskiem niejako naturalnym jest zmiana rządzących i związana z tym zmiana polityki. Ale znów powstaje pytanie, na czym ta zmiana polityki polega. Jeżeli popatrzymy na to, co się stało na Węgrzech od 2010 r., to zobaczymy, że nie chodzi tu o zmianę polityki ani sym-

bolicznej, ani historycznej, ani też gospodarczej, ale chodzi także o tego typu przekształcenia instytucjonalne, które zmierzają do likwidowania barier ograniczających arbitralność rządzących. To jest to, co się stało w tym kraju z bankiem centralnym, co się stało z Trybunałem Konstytucyjnym. *Notabene*, Freedom House zareagował obniżeniem Węgrom wskaźnika rozwoju demokracji. Taka zmiana jest niesłychanie niebezpieczna, bo te kruche demokracje nie są immunizowane przed jednym – nadmiernymi ambicjami politycznymi, z którymi mamy do czynienia w pewnym określonym kontekście społecznym, np. wobec braku prodemokratycznej kultury politycznej, braku społeczeństwa obywatelskiego, rozpatrywania relacji między aktorami polityki jako relacji walki, traktowania rywali politycznych w kategorii wroga i to takiego, którego trzeba unicestwić. To wszystko samo w sobie jest niebezpieczne. Jeśli do tego dodamy znaczną niestabilność sceny politycznej, pojawianie się nowych partii, umieranie starych partii, częste rozłamy, to obawy o los demokracji nie będą wydawać się całkowicie bezpodstawne. Chciałem jeszcze zwrócić uwagę na zjawisko charakterystyczne dla Europy Wschodniej: otóż nie obowiązuje w tym regionie zasada, która nakazuje, by zwycięzca wyborów formował rządy. Partie, które wygrywają wybory, tracą władzę, co się zdarzyło na Słowacji w 2010 r. Partie, które przegrywają wybory, jak w Czechach w 2010 r., utrzymują władzę. Nie ma tutaj prostej zależności, przełożenia samej woli wyborców na to, kto będzie rządził. O tym decydują inne kwestie, np. alianse międzypartyjne, relacje między liderami itd. Oznacza to, że te wszystkie kruche systemy demokratyczne mogą w warunkach kryzysowych ulec degenerującym zmianom.

Zarazem jednak istnieją elementy nadziei i optymizmu. Myślę tu o zjawisku, które ochrzczone zostało mianem kolorowych rewolucji i pokazało, że w tych krajach, w których doszło do zapóźnień demokratycznych albo wynaturzeń systemów politycznych, protesty społeczne i podwyższona mobilizacja społeczna mogą doprowadzić do pewnego zwrotu. Taka rewolucja udała się w Serbii w 2000 r. Nie udała się albo nie udała się całkowicie w 2004 r. na Ukrainie. Dziś cały świat zastanawia się, czy demonstracja na placu Błotnym w Moskwie to zapowiedź

czegoś, co się może zdarzyć np. przy okazji najbliższych wyborów prezydenckich, czy też jednak jest to potwierdzenie tego kierunku rozwoju, który Rosja przyjęła po dojściu Putina do władzy.

Są to, proszę państwa, pytania, które musimy postawić, rozpatrując stan tych nowych demokracji, identyfikując to, co jest dzisiaj ich zagrożeniem, i to, co może się stać ich szansą. Bez wątplenia mamy do czynienia, i to się wiąże z tym, o czym mówił pan profesor, ze skomplikowanym stanem stosunków w UE, z zagrożeniem nacjonalistycznym. Odżywa idea państwa suwerennego w takim klasycznym XIX-wiecznym wydaniu, która się nieuchronnie sprzęga z nacjonalizmem. Dla ruchów nacjonalistycznych podłoże w Europie Środkowej i Wschodniej jest sprzyjające. Chodzi o nierozwiązane problemy graniczne, o problemy mniejszości w wielu państwach, a ten nacjonalizm najczęściej wyraża się albo w niechęci do mniejszości, tam gdzie społeczeństwa są niejednorodne kulturowo, albo też w niechęci do wszelkich prób ograniczania suwerenności z zewnątrz. I Bruksela jest synonimem takiego wroga. Występuje zagrożenie populistyczne, obecne zresztą w całej Europie, nie tylko Środkowej i Wschodniej. Zagrożenie takie mogą też wszędzie stanowić radykalne partie populistyczne, w Europie Zachodniej najczęściej prawicowe, w Europie Wschodniej także i lewicowe, np. weźmy pod uwagę Komunistyczną Partię Czech i Moraw albo nieistniejącą już polską Samoobronę.

Zarazem wiemy, że niektóre kraje stosują politykę kordonu sanitarnego, oddzielając radykałów od władzy, stawiają tamy ochronne, a niektóre – wręcz przeciwnie – zawierają alianse, dokooptowują te partie do rządu i, generalnie rzecz biorąc, o czym świadczy przykład Austrii, a w jeszcze większym stopniu Holandii, te radykalizmy tracą na politycznym znaczeniu. Polska Samoobrona i LPR, które były uważane za radykalne partie, przedostały się do rządu. Ale ceną, którą zapłaciły za ten roczny udział we władzy, jest zejście ze sceny politycznej. Może zatem tych zagrożeń nie należy demonizować? Otóż w systemach demokratycznych, których istotą jest to, że wolno głosić różnego rodzaju poglądy, wolno je manifestować, wolno tworzyć organizacje, które te poglądy rozpowszechniają, mo-

zaika, nazywana pluralizmem, jest nieunikniona. Od dojrzałości elit politycznych, także wyborczych, zależy to, jak się to przełoży na układy władzy, kto tę władzę będzie sprawował, a kto znajdzie się w opozycji. Pewnie ta dojrzałość elit politycznych i mas jest słabą stroną demokracji wschodnioeuropejskiej.

Jednocześnie kolorowe rewolucje wybuchające w krajach zapóźnionych, w których najmniej spodziewano się tego typu wydarzeń, mogą stanowić jakieś źródło optymizmu. Ogólnie rzecz biorąc, kryzys jest tym momentem próby młodych demokracji. Jeśli cofniemy się w historię, w lata Wielkiego Kryzysu, niektóre demokracje przetrwały to załamanie, i to wcale niekoniecznie te, które były najbogatsze. Przetrwały je także demokracje biedne, np. Irlandia – lata 1929–1933 nie doprowadziły do autorytarnego przewrotu. W tym także tkwi szansa, że z tej próby większość demokracji wschodnioeuropejskich może wyjść zwycięsko. I bez wątplenia jednym z czynników, który może temu pomóc, jest integracja UE. Ma to znaczenie nie tylko dla państw, które aktualnie w niej są, lecz także dla tych, które do niej pukają, i tych, które będą pukać w najbliższej przyszłości. Dziękuję pięknie.

Bartłomiej Nowotarski

Chciałem podziękować za zaproszenie. Z wielką przyjemnością korzystam z niego już po raz drugi, jako że miałem okazję raz tu u państwa być. Wiele się od tego czasu zmieniło, nie tylko w Afryce Północnej, lecz także, za co przepraszam jako były prezes Śląska Wrocław, w tym, że Śląsk się zamienił z Wisłą czasowo na miejsca w tabeli (...).

Jest to dla mnie doniosły temat, ponieważ zajmuję się erozją demokracji w świecie. Demokracje oczywiście upadają gwałtownie, jeżeli są demonstracje, rozruchy, zamieszki, powstania, walki plemienne i klanowe, ale bardziej zdradliwą formą upadania demokracji jest jej erozja, ponieważ głównym jej źródłem pozostają nagminnie sami politycy i nie jest ona łatwo dostrzegalna przez zwykłych obywateli. Erozja demokracji, jak to erozja, postępuje powoli, zdradliwie i w ukryciu. Profesor Smolar cytował tutaj badania i raporty Freedom House, profesor Antoszewski – Nations in Transit. Oba te ba-

dania pokazują generalnie postępy, ale i spadki w procesach demokratyzacji, przy czym moim zdaniem badania Nations in Transit są bardziej wyczulone na słabość państwa i degenerację władzy. I właśnie w tym drugim badaniu nawet pięciu krajom UE dostaje się za deficyty czy też obniżenie jakości demokracji, głównie jeżeli idzie o tzw. rywalizacyjność w demokracji, niezależność mediów oraz niezależność władzy sądowniczej. Ale to w stosunku do państw, nie zaś odnośnie do skali ponadnarodowej, jakkolwiek zgodzimy się, że i tutaj niewątpliwie występują deficyty demokracji, chociażby w UE.

W tym miejscu profesor Smolar ciekawie pyta o korelacje między gospodarczym globalnym kryzysem i stanem dwóch demokracji; ponadnarodowej i wewnętrznej – państwowej. Pozwolę sobie zatem postawić taką tezę, że po pierwsze, demokracje erodują głównie z przesłanek endogennych, czyli z powodów wewnętrznych, uwiązdu własnych fundamentów i rusztowań, a nie egzogennych, zewnętrznych. Daleko bardziej z powodu degradacji mechanizmów odpowiedzialności rządzących, w tym mechanizmu ich pokojowej rotacji u władzy niż z powodu gospodarczego kryzysu. Zgadzam się tu z uczonymi z Uniwersytetu w Chicago, którzy pokazują, że tylko jakiś gwałtowny spadek wzrostu gospodarczego może grozić demokracji. W ostatnim czasie, od kwietnia, często odwiedzam kraje arabskie, głównie Tunezję i Egipt, jako konstytucjonalista, w celu promowania różnych rozwiązań konstytucyjnych. I wyobraźcie sobie państwo wyborców stojących w trzygodzinnej kolejce, bo tak mniej więcej wyglądały kolejki do tamtejszych urn wyborczych. A następnie, wyobraźcie sobie Polaka, który jest w stanie stać dłużej niż pięć minut przed komisją wyborczą. To fakt, Polacy przecież stali już w 40-letniej kolejce prawie po wszystko. A w Tunezji i Egipcie ci zwykli ludzie mówili tak: dyktatury nam specjalnie nic nie przyniosły, poza wzbogaceniem się rodziny rządzącej, wiemy, że zbliża się kryzys światowy, ale jednocześnie wiemy, że demokracja da nam przynajmniej szansę wymiany rządzących, coś, czego dyktatura w ogóle nie była w stanie dać. A dalej, jeżeli przyjdzie nam wypić piwo – prawda, szczególnie to metafora, gdy idzie o kraje muzułmańskie – to tym razem będziemy świadomi, że sami go sobie na-

warzyliśmy. Otóż widać wyraźnie po tych wypowiedziach, że demokracja współcześnie stanowi pewien istotny miraż. Sam fakt możliwości wymiany rządzących to sprawa nie do przecenienia, w sytuacji gdy wszyscy zdają sobie sprawę, o czym mówił Aleksander Smolar, że wygrywają partie postislamskie, które mają „na zapleczu” zawsze też grupę salafitów, czyli bardziej ortodoksyjnych muzułmanów. W Tunezji salafici nawet podnieśli hasło powrotu do wielożenstwa, co jest oczywiście niemożliwe, ponieważ nawet kierownictwo Braci Muzułmanów wie, że pięć milionów turystów odwiedza ich kraj i jeżeli relacje w nim zdominuje szariat, to mało kto przyjedzie, co w efekcie zniszczy całą gospodarkę. Wszak niewielu turystów jeździ przecież do Islamskiej Republiki Iranu.

Poza tym, oprócz tego, że demokracje upadają głównie z powodu czynników wewnętrznych, wydaje mi się, że dziś, poza kryzysem gospodarczym, nie ma takich przesłanek, które towarzyszyły falom odpływów demokratycznych przed II wojną światową oraz w latach 60. i 70. XX w. Państwa już nie są tak izolowane i nie ma takiej promocji, jak w tamtych dwóch dekadach, junt wojskowych na obszarze Ameryki Południowej przez Biały Dom.

Teraz szczegółowiej będę próbował polemizować w różnych kwestiach. Po pierwsze, czy istnienie bloku komunistycznego utrzymywało jakoś demokrację w wolnym świecie? A czy antykomunistyczna histeria McCarthy’ego w Stanach Zjednoczonych lub wojna w Wietnamie podnosiły jakoś tamtejszej demokracji? Nie. A już na pewno tamten okres nie wpływał pozytywnie na jakoś demokracji w Ameryce Południowej, kiedy w większości tych krajów funkcjonowały junty.

Po drugie, Chiny odnoszą sukcesy, to prawda, ale czy nie zaważy kiedyś stopień przejadania wzrostu gospodarczego przez aparat administracyjny i komunistyczny? Potężny aparat, który przecież się w ogóle nie liczy z zyskiem zwykłych ludzi. W Iranie natomiast skończyło się państwo opiekuńcze – w dużym, w sumie bogatym przecież kraju. Jeszcze rok temu państwo płaciło za pierwsze sto litrów benzyny każdemu obywatelowi. Dzisiaj ceny poszybowały w górę i cała sytuacja wywołuje istotne niezadowolenie.

Po trzecie, stała się rzecz niebywała: przestała działać kłętwa ropy, która nie promuje już tyl-

ko dyktatorów, ale w tej chwili to właśnie demokratyczne państwa mogą to bogactwo przejąć. Oczywiście, jeśli nie zbalansują sobie dobrze władzy, jak często staram się mówić, jak nie stworzą dobrego systemu *checks and balances*, to zawsze będzie grozić im powrót łasych na bogactwo państwa rodziny i klanów. Jak sami podkreślają, nie ma wątpliwości, że w mentalności arabskiej tkwi zasada „zwycięzca bierze wszystko”, co oznacza: wygrać w polityce i zgarnąć całą kasę. Gdy idzie o procesy demokratycznych tranzycji, to niewątpliwie wiją się tam jak meander, ale osobiście jestem dobrej myśli. Najpierw były wybory parlamentarne, nie prezydenckie, aby nie obciążało ich od razu dziedzictwo personalizacji polityki. Wygrywający prezydent przy słabym systemie partyjnym ma dużo przesłanek do tego, żeby znowu zostać dyktatorem. I nie zaczęli też, jak Ajatollah Chomeini w Iranie, od referendum, czyli najbardziej potencjalnie oszukańczej metody w świecie. Gdy się robi rewolucję na fali terroru, populizmu, rzuca się społeczeństwu konstytucję pod referendum i na drugi dzień jest już po wszystkim. Nie ma demokracji, nie ma niczego, ostał się natomiast Chomeini ze swoim reżimem. Na szczęście, szyicka forma rządów, w której, jak zostało zapisane w irańskiej konstytucji, naród oddaje swoją suwerenność na rzecz ajatollaha, żeby on przygotował społeczeństwo na przyjście dwunastego imama, na którego szyici właśnie czekają, nie jest i nie będzie wzorcem dla sunnitów. Arabowie mówią, że właśnie irańskie rządy „uczonych kapłanów” – Welayat e-Faqih – skompromitowały ideę rządów islamskich jako takich.

Ale nawet w tamtym społeczeństwie, a dwa miesiące temu wróciłem z Iranu, wiele się zmieniło po wyborach w 2009 r. Jak państwo wiecie, wybory były dramatyczne, połała się krew, kompletnie oszukane i wszyscy, na dodatek, zdają sobie z tego sprawę. Ahmadineżad wygrał, ale nie powinien, w pierwszej turze, osiągnąć takiego wyniku wyborczego. Ludzie na ulicach są zupełnie inni niż cztery lata temu, kiedy byłem tam poprzednio. Podchodzą i pytają: czy obcokrajowiec i skąd. Ja odpowiadałem: „Lachestan”, a oni na to: „Walesa, Walesa”. A młodzież mówiła: „Doda”, ponieważ oni tam w MTV, zresztą nielegalnie (antenę satelitarne są zabronione), oglądają Dodę. Po ulicach Teheranu, Isfahanu, Yazd

chodzą kobiety „hybrydy”: chusta na głowie, tak z uchem odsłoniętym po staropersku, to ukłon w stronę tradycji, a do tego wysokie czerwone szpilki. Twarze kobiet dodatkowo charakteryzował niezwykle mocny makijaż, co miało stanowić wyzwanie dla konserwatywnych uczonych w prawie koranicznym, mimo że policja religijna siłą ściera im szminkę z ust. Ale już w Teheranie tej policji nie widziałem, w małych miastach niewiele. Funkcjonariusze boją się pewnie trochę ośmieszać wobec części ludzi. W Iranie obecnie jest podobny okres, jaki obserwowaliśmy pod koniec naszego komunizmu. Wielkie święto Imama Alego, za Chomeiniego, sprowadzało na plac (zresztą nazwany dziś jego imieniem) dziesiątki tysięcy ludzi. W 2011 r. występowały tylko wynajęte aktorskie trupy, grające historię Alego dla zaledwie kilkunastu gapiów. Reszta teherańczyków w tym czasie robiła zakupy na bazarze, na placu Tadżerisz. W telewizji 13 programów i 7 godzin regularnych wywiadów z ajatollahami. Starsi z państwa pamiętają te polskie wywiady z lat 70. czy 80. Prowadzący je redaktor był taki bardzo przyjemny, tylko kiwał głową i się uśmiechał, żadnego krytycznego pytania. Co w trakcie takich programów robią Irańczycy? Piknikują na swoich placach. Zauważyłem, że opustoszały jedynie, kiedy Barcelona grała z Realem – wszyscy zatem poszli na mecz. I wielki żal, w rozmowach, w sklepach, na ulicach, że udało się Tunezjczykom, udało się Egipcjanom, a im w 2009 r. nie. Podsumowując sytuację w Iranie, pozwolę sobie powiedzieć, że jakby przyjąć kryteria takich politologów, jak Juan Linz i Alfred Stepan, to Irańczycy są w okresie posttotalitarnym. A na dodatek w stadium tzw. rywalizacyjnej autokracji. Powstała mocna opozycja okrzepła na kontrkandydatach z wyborów prezydenckich oraz byłym prezydencie. Oni się w tej chwili jeszcze boją. To są wszystko rewolucjonści 1979 r., ale przyjdzie taki okres, że dynamika rywalizacji zmusi którąś ze stron do odwołania się do społeczeństwa, a to może oznaczać koniec reżimu.

Po czwarte, wydaje mi się, że nie może być mowy o upadku idei promocji demokracji w świecie. Mimo niepowodzeń w Iraku czy Afganistanie, trzeba wszak pamiętać, że tak naprawdę myśmy tam nie poszli budować demokracji. Poszliśmy po ropę, poszliśmy walczyć z tranzytem narkoty-

kowym w Afganistanie. A najbardziej zaszkodziły nam nasze głupie błędy. Na przykład pochwała przez Solanę wyborów 2009 r. w Iranie, w sytuacji kiedy reżim dokonuje tam przecież publicznych egzekucji skazańców. Iran to wciąż jednak państwo terroru, w związku z tym lepiej takich rzeczy nie mówić. A proszę przypomnieć sobie wypowiedź Busha o osi zła, która spowodowała, że Irańczycy komentowali: „Jak mogliście tak nas nazwać? Diabłami?”. Rząd irański sprytnie oczywiście wypowiedź tę wykorzystał propagandowo.

Do Tunezji i Egiptu wieziemy propozycje współpracy, permanentnej współpracy. Na przykład koncepcji bliźniaczych miast, współpracy partii politycznych, na wszystkich możliwych szczeblach, w tym społeczeństwa obywatelskiego. Takie ścisłe powiązania to jedyna nasza dobra broń. Ponieważ tam, gdzie my jako zachodnia cywilizacja nie bagatelizujemy innych rozwijających się państw, promocja demokracji w miarę się udaje.

I na koniec o tych endogennych przyczynach erozji demokracji. Jak pokazuje historia, w demokracjach w ciągu ostatnich 40 lat erozja następowała głównie z takich oto powodów: wielkiej koncentracji władzy wykonawczej, w pierwszej kolejności, w procesie decyzyjnym, czyli legislacyjnym, gdzie kompletnie zlekceważono mechanizm separacji władz. Czyli wtedy, kiedy władza wykonawcza dysponowała np. Dekretami bądź prawem samodzielnego rozpisywania referendum i mogła w ten sposób omijać parlament, wywołując jednocześnie z nim ambicjonalną i kompetencyjną wojnę. Ale także, gdy ta sama władza egzekutywna dysponowała zbyt dużą władzą nominacyjną, m.in. powołania i odwoływania rządu i ministrów, miała wpływ na obsadzanie sądów, trybunałów konstytucyjnych czy rzeczników praw obywatelskich. Taka władza oczywiście atakowała tzw. horyzontalny mechanizm równoważenia władz. Dopiero co Victor Orban na Węgrzech zredukował uprawnienia Trybunału Konstytucyjnego i zrobił to formalnie, przez zmianę obowiązującego prawa. Natomiast argentyńscy prezydenci Menem, Kirchnerowie, robili to w sposób nieformalny, po prostu obsadzali swoimi ludźmi np. właśnie sądownictwo konstytucyjne.

Erozja demokracji wynika także z nieodpowiedzialnego mieszania systemu parlamentar-

nego z prezydenckim, co głównie miało miejsce w subsaharyjskich krajach Afryki. Przykładowo: prezydent był jednocześnie premierem, ale jako prezydent był wybierany w wyborach powszechnych, przez co pozostawał poza parlamentarną kontrolą. Dodatkowo, przy braku *incompatibilitas*, mógł zatrudniać sobie w rządzie połowę parlamentarzystów i w ten sposób zyskiwał w parlamencie, wraz ze swoim ugrupowaniem, pozycję partii dominującej lub nawet hegemonicznej. I to, powiem na koniec, okazało się bardzo niebezpieczne. Gdy o erozjach demokracji decydował właśnie syndrom partii dominującej, który niszczył pluralizm i separację opcji politycznych, degradował opozycję, rywalizacyjność, powodował nierówność w dostępie do różnych zasobów państwowych, takich jak sądy i media, niwecząc tym samym szanse opozycji w kampaniach wyborczych. W ostateczności oznaczało to dyskrecjonalne zawłaszczanie państwa przez taką dominującą partię. I wydaje mi się, że ten właśnie ostatni syndrom, syndrom partii dominującej, przy słabnięciu skonfliktowanej przeciw ze sobą opozycji oraz wyraźnej, dość standardowo się objawiającej, strategii służącej utrzymaniu dominacji przez główną partię rządzącą, może być w najbliższej przyszłości też naszym kłopotem, kłopotem Polski. Dziękuję bardzo.

Pytania i wypowiedzi z sali

Lukasz Bajak

Dzień dobry, jestem doktorantem na Wydziale Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych w Katedrze Gospodarki i Administracji Publicznej. Chciałbym zadać panu profesorowi Smolarowi dwa pytania, odwołując się do teorii stosunków międzynarodowych, i jedno pytanie dotyczące zimy arabskiej, o której pan profesor wspominał. Jeśli chodzi o teorie stosunków międzynarodowych, chciałbym zapytać, jak pan profesor sądzi, w świetle teorii neorealizmu politycznego, czy kryzys może zmienić obecny system światowy z systemu monopolarnego, gdzie najsilniejszym graczem jest USA, w system monopolarny z najsilniejszym graczem w postaci Chin albo duopolarny z Chinami i USA lub multipolarny z Chinami, USA i Rosją?

Drugie pytanie chciałem zadać w kontekście teorii neomarksistowskiej: czy kryzys w stre-

fie euro może zdaniem pana profesora zepchnąć Europę z centrum światowej polityki i gospodarki do półperyferiów albo peryferiów?

I wreszcie trzecie pytanie: jaki wpływ na światową gospodarkę może mieć tzw. Arabska Zima, zwłaszcza w kontekście eksportu ropy naftowej? Dziękuję uprzejmie.

Jerzy Mikołowski Pomorski

Była to bardzo ciekawa wymiana poglądów, bardzo za nią dziękuję. To, co mnie uderzyło w pana referacie, to globalne stwierdzenie o obecności kryzysu wszędzie. Czy nie ma w tym przesady? Jeżeli przyjrzymy się danym Freedom House, które studiuje bardzo uważnie, to widać, że tu nie ma zgodności w takiej diagnozie. Raczej wskazują one na amplitudy zmian, upadku i sukcesu np. w układzie Polska – Czechy – Węgry. Oczywiście to prawda, że rok 2010 był powszechnie rokiem osłabienia demokracji, ale poszczególne kraje doszły do tego po swoich ścieżkach. Polska wystartowała, tworząc system bardzo demokratyczny na początku transformacji. I był on kontynuowany, chociaż niedojrzały, co bardzo utrudniało procedowanie w jakichkolwiek demokratycznych instytucjach. Sądzę, że motywem trzymania się tego systemu było obecne w Polsce przekonanie, że my wychodzimy z pokomunistycznego kryzysu i musimy wytrwać, wówczas demokracja zacznie przynosić owoce. Gdy Czechy i Węgry wcale nie były wtedy przekonane, że tamten kryzys ich w ogóle dotknął, podobnie jak mówili mi ekonomiści w Bukareszcie. Oni byli przekonani, że kryzys to jest polska specjalność i tylko my wychodziliśmy z niego. Amplitudy zmian były różne – Polska była bardzo wysoko, potem zaczęła tę pozycję tracić. Tak działo się według pewnych kryteriów. Według innych nie. Polska bardzo źle wypadła według kryterium społeczeństwa obywatelskiego, ale mógł to być błąd pomiaru, ponieważ nie zdefiniowano społeczeństwa obywatelskiego. Gdybyśmy zdefiniowali, że – jak piszą europejscy analitycy – Kościół jest elementem społeczeństwa obywatelskiego, to pozycja Polski byłaby nawet wysoka. Wiele rzeczy jest niejasnych, wiele rzeczy jest niedodefiniowanych, począwszy od sprawy z niską frekwencją wyborczą. Pewni moi znajomi policjanci mieli okazję zajrzeć do list wyborczych, które były rozłożo-

ne do głosowania, i okazało się, że zawierały one olbrzymią liczbę osób już nieżyjących. Ludzie z biur meldunkowych, zapytani, dlaczego oni się tam utrzymują, powiedzieli, że to ich wina – nie dość, że umarli, to jeszcze się nie wyrejestrowali. Efekt jest taki, że mamy niski wskaźnik frekwencji, a naprawdę zawodzi system rejestracji uprawnionych. Ankieterzy ostatniego Spisu Powszechnego poszukiwali w moim domu osób, które już dawno przestały tam mieszkać.

Drugi problem. Pan profesor bardzo interesująco mówił o krajach arabskich. I może nawet wydawać się dziwne, że zwracał uwagę na ich obyczajowość. Wspomniał pan, że występowało tam dążenie do wprowadzenia do systemu prawnego wielożenstwa, chociaż, biorąc pod uwagę praktykę tych krajów, raczej należałoby wprowadzić wielomęstwo, ponieważ te wszystkie doświadczenia, które Tunezji czy Egipcjom przyniosła rozwinięta turystyka, to w gruncie rzeczy umożliwienie kontaktu z Europejkami. Kobiety te mają dosyć swobodny kodeks erotyczny, który pozwala tym ludziom otwierać się i doświadczać tego, co niesie europejska demokracja, a więc utrzymywać kilku mężczyzn. Zainteresowanie europejską demokracją przypisywałbym również Wiośnie, choć kalendarzowo Arabskiej Zimie. Jeśli zastanowimy się nad tym, skąd się wzięły polityczne protesty, to nie znajdziemy jednej formuły, z wyjątkiem tęsknoty do porządków panujących Mare Nostrum. A przyczyną kryzysu byłby brak modernizacji.

I w końcu na tym tle trzecie pytanie. Co tak naprawdę dzieje się w Rosji? Dlaczego Rosjanie, których system nie został poddany modernizacji i których, zgodnie z tradycją, bo nie po raz pierwszy, oszukano przy wyborach, zaczęli demonstrować? Przecież oni o tym wiedzieli, oni zdawali sobie sprawę, że są oszukiwani. Czy to jest pewne zapatrzenie się na Tunezję, na Kair? Dziękuję.

Michał Żabiński

Dzień dobry. Chciałbym podzielić się wątpliwościami dotyczącymi rosnącej roli Chin. To znaczy był taki moment jeszcze niedawno, kiedy mówiło się o gospodarczej dominacji Japonii. W podobny sposób mówiono również o tzw. tygrysach azjatyckich. Teraz mamy taką falę chińską. Szybki rozwój tego kraju kusi wielu do for-

mownia daleko idących wniosków na temat jego przyszłej dominującej roli w gospodarce światowej. Jednakże pewne olbrzymie problemy Chin się pomija. Mam tu na myśli przede wszystkim kwestie zanieczyszczenia środowiska naturalnego, np. problem z wysychaniem Żółtej Rzeki, która stanowi główny zasób podstawowego surowca, jakim jest woda dla olbrzymiego chińskiego państwa. Problem ten łączy się z jakże istotną kwestią zmniejszenia wielkości obszarów rolnych. Kolejne są problemy społeczne i gospodarcze, takie jak olbrzymie rozwarstwienie na linii wieś–miasto, tworzenie arcydrogich, nigdy nieopłacalnych inwestycji w rodzaju linii drogowych lub kolejowych czy sztuczne budowanie miast. A to wszystko powstaje na bazie olbrzymiej nadwyżki eksportu nad importem. Jednakże ta nadwyżka jest wynikiem taniej siły roboczej. I tam można na razie jeszcze produkować tanio. Jednakże, jak pan profesor mówił, ludziom zaczyna się żyć coraz lepiej, rosną zarobki. Ale jeżeli żyje się coraz lepiej, to spada konkurencyjność gospodarki opartej tylko na taniej sile roboczej. A nie mamy do czynienia z chińskim *know-how* ani z eksportem chińskich technologii, przynajmniej na razie [A.S. – już mamy] w takim stopniu. Na czym ma się więc opierać chiński prymat w gospodarce światowej?

I pytanie o trwałość systemu chińskiego. Nikt nie wierzył w upadek Związku Radzieckiego. Arabska Wiosna Ludów też była w pewnym sensie zaskoczeniem. Pytanie brzmi, jak faktycznie może wyglądać rola Chin na świecie w długookresowej perspektywie i w kontekście zmian w państwach demokratycznych.

I kwestia powiązana: mówimy tu o Afryce, ale tylko o Afryce Północnej, gdyż mówiąc o demokracji, pomijamy resztę Afryki. To błąd – wszak to kontynent, który może być dla Europy zapleczem, jeżeli chodzi o pracę. Tutaj wracam do Chin, dlatego że prezentują one zupełnie inne podejście niż kraje europejskie w kwestii pomocy dla Afryki. Europa udziela jej wsparcia głównie pod postacią pomocy humanitarnej, przekazując leki i żywność. Natomiast pomoc w wykonaniu Chin to inwestycje, różnej jakości, ale jednak inwestycje. Czy to może jest ta droga, dzięki której Chiny mają możliwość zwiększenia swojej roli politycznej, a która prowadzi do margina-

lizacji, o czym była mowa, Europy? O to chciałem zapytać.

Robert Jakimowicz

Usłyszałem tutaj wiele wypowiedzi o Arabskiej Wiośnie, o Arabskiej Zimie, o kwestii eksportu demokracji do krajów arabskich czy też odporności krajów arabskich na pojawiające się trendy demokratyczne. Wszyscy mają nadzieję, że jakaś demokracja tam będzie. W tym miejscu rodzi się pytanie, co to znaczy demokracja w krajach arabskich, jaką może ona przybrać formę, czy w ogóle może się pojawić w społeczeństwach je zamieszkujących. U mnie pojawiają się wątpliwości. Dotychczasowe dyktatury panujące w kilku krajach arabskich, przez wiele lat, wprowadzały ważny element świeckości w struktury państwa i do życia społecznego, który dawał ewentualną nadzieję na rozpoczęcie odgórnej tranzycji demokratycznej. Po ostatnich tamtejszych wydarzeniach okazuje się, że coraz ważniejszą rolę zaczynają odgrywać nury islamskie oraz działające w ich ramach partie i inne organizacje, dla których prawo koraniczne jest najważniejsze, a wartości demokracji liberalnej jak najbardziej obce. Niemniej nasuwa się refleksja, że może w tym regionie pojawi demokracja islamska, nawet biorąc pod uwagę strukturę klanową poszczególnych krajów arabskich. Oczywiście w krajach muzułmańskich może pojawić się demokracja islamska. Obecnie wskazuje się na Indonezję jako największe demokratyczne państwo islamskie. Należy podkreślić, że islam w Azji Południowo-Wschodniej czy krajach Azji Centralnej znacznie się różni od islamu na Bliskim i Środkowym Wschodzie. W związku z tym należałoby przeprowadzić wszechstronne badania istniejącej demokracji w Indonezji, co byłoby punktem wyjścia do tworzenia modeli demokracji w innych państwach muzułmańskich. Tak jak istnieją ogromne różnice w poszczególnych demokracjach liberalnych, tak występować będą one w przyszłości w pojawiających się nieliberalnych demokracjach, w tym wypadku w przyszłych demokracjach islamskich Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Stanisław Mazur

Pierwsze pytanie chciałbym skierować do pana profesora Smolara. W swoim wystąpieniu

skoncentrował się pan na poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, czy demokracja sprzyja kryzysowi. Wskazał pan pewne typy zagrożeń, stwierdzając zarazem, że mechanizmy demokratyczne mogą sprzyjać ich powstawaniu i eskalacji. Odniósł się pan profesor m.in. do braku myślenia strategicznego, słabości wizji politycznej, presji cykli wyborczych, aktywności grup interesu. Wreszcie opisał pan konsekwencje fiaska realizacji koncepcji państwa dobrobytu. Z pewnością wszystkie te zjawiska przyczyniają się do erozji demokracji. Niemniej wydaje się, że warto byłoby także spojrzeć na ten problem z innej perspektywy i zapytać o to, na ile rynek jest źródłem kryzysu demokracji. Wydaje mi się bowiem, że bardzo wiele problemów wynika z niesprawności mechanizmów rynkowych. Co więcej, można byłoby na to nałożyć jeszcze jeden wymiar, który nazwałbym sferą publiczną. Chodzi o to miejsce, gdzie spotyka się rynek, państwo i demokracja, na każdym z poziomów, począwszy od lokalnego, a skończywszy na wymiarze globalnym. Wydaje mi się, że wtedy łatwiej byłoby zrozumieć te mechanizmy, jeżeli traktuje się je jako współzależne, i objaśnić ich wpływ na demokrację. Być może warto byłoby sięgnąć do refleksji, która jeszcze na przełomie XIX i XX w. była bardzo wyraźnie obecna w literaturze i socjologicznej, i politologicznej, a mówiła o niełatwej koegzystencji rynku, demokracji i obywateli. Być może pod wpływem niezaprzeczonego sukcesu państwa dobrobytu zapomnieliśmy o tym, że rynek i demokracja pozostają w pewnych obszarach w sporze i opozycji. Innymi słowy, czy pan profesor dostrzega konieczność dokonania fundamentalnej rewizji dominującego myślenia o współzależnościach występujących między rynkiem, demokracją i sferą publiczną, a jeśli tak, to w jakim kierunku rewizja ta powinna zmierzać?

Drugie pytanie chciałbym skierować do pana profesora Antoszewskiego. W swoim wystąpieniu stwierdził pan, że stabilne reguły instytucjonalne coraz częściej zatracają swą stabilność. Przykłady tego są widoczne w całej Europie, szczególnie zaś w nowych krajach członkowskich Unii Europejskiej (np. partie, które kiedyś z różnych powodów były izolowane na scenie politycznej, są dziś zapraszane do formułowania rządów). Coraz mniej w życiu politycznym sta-

bilności i przewidywalności, a coraz więcej radykalizmu i przedkładania skuteczności nad procedury demokratyczne. W tym kontekście nurtuje mnie pytanie, czy współczesna klasa polityczna ma zakodowane geny, które będą wywoływały tęsknoty autorytarne, i czy będą one na tyle silne, że demokratyczne reguły rządzenia będą zastępowane mechanizmami autorytarnymi.

Kolejne pytanie chciałbym skierować do pana doktora Nowotarskiego. W swoim wystąpieniu wskazał pan na kilka elementów, które są zaczynem psucia demokracji, takich jak koncentracja władzy, poszerzanie sfery nominacji politycznych, brak konkurencji politycznej, zjawisko partii dominującej. Wspomniał pan, że wszystkie te symptomy są coraz bardziej widoczne, także w Polsce. Czy pańskim zdaniem może to oznaczać, że wkraczamy na ścieżkę, która będzie prowadzić do erozji dominującego obecnie demokratycznego modelu rządzenia skutkującego m.in. bardzo silnym wzmocnieniem egzekutywy kosztem demokratycznej reprezentacji?

Jerzy Kornas

Ja chciałbym nawiązać przede wszystkim do wypowiedzi pana profesora Smolara, ponieważ z ciekawością przysłuchiwałem się tej analizie, którą pan profesor przeprowadził – bardzo interesującej i dotyczącej procesów demokratyzacyjnych we wszystkich regionach świata. Wydawało mi się, że przyjął pan taką tezę, którą potwierdził ostatni referent, a mianowicie, że demokracja jest możliwa we wszystkich społecznościach na całej kuli ziemskiej. To jest teza, jak wiadomo, w literaturze przedmiotu bardzo często podnoszona i zarazem często kontestowana, szczególnie w odniesieniu do krajów islamskich i dużej części krajów azjatyckich, a więc cywilizacji, które się znacznie różnią od europejskiej tradycjami politycznymi. Powstaje zatem pytanie, na które nie usłyszałem odpowiedzi w pana wystąpieniu: czy rzeczywiście, analizując dzisiejszy stan demokracji czy obserwując kryzys współczesnej demokracji przedstawicielskiej, jest to po prostu możliwe w wymienionych krajach? I to nie tylko teraz, ale i w dalszej przyszłości? Czy czasami te państwa nie wypracują jakiejś innej cywilizowanej formy demokracji, która nie będzie odpowiadała standardom, jakie znamy z europejskiej kultury politycznej? To jest pierwsza kwestia. Jeśli

byłoby to bardzo interesujące.

Druga kwestia jest następująca. Otóż zgadzałem się tu z pytaniem, które zadał pan profesor Jakimowicz. Ja nie byłbym takim optymistą co do tej zimy czy wiosny w Afryce Północnej, dlatego, że nie mamy jeszcze żadnych wystarczających dowodów, albo przynajmniej silnych argumentów na rzecz tego, iż tam powstaną demokracje. Same przykłady, które pan podawał, również wskazują, że ten proces polityczny może się przekształcić w nową formę rządów dyktatorskich w krajach islamskich. Mimo że obecnie same wydarzenia oceniamy jako wybuch demokracji, że cieszymy się z zapowiedzi przeprowadzenia wyborów czy tam, gdzie się one już odbyły, z dużych kolejek do urn wyborczych, to nie ma dostatecznej pewności co do tego, czy siły polityczne, które przejmą tam władzę, będą zmierzać właśnie w kierunku demokracji na wzór rozwiązań europejskich.

Wreszcie trzecia kwestia, która nawiązuje do wypowiedzi profesora Antoszewskiego, a mianowicie istniejąca w demokracjach zachodnich obawa, czy nie zachodzi niebezpieczeństwo – zakładając, że kryzys gospodarczy i finansowy może się pogłębić i nie uda się go rozwiązać w najbliższej perspektywie – powtórzenia tego, co znamy już z historii, zwłaszcza z okresu międzywojnia, że na bazie społecznego niezadowolenia mogą za pomocą instytucji demokratycznych przejąć władzę te siły, które tę początkującą demokrację następnie zlikwidują? Dziękuję bardzo.

Parwot Białynicki Birula

Chciałbym nawiązać do dwóch spraw. Pierwsza to uwaga natury ogólnej. Gdy w tym miejscu geograficznym mówimy o demokracji, to od razu pojawia się pewien typ paternalizmu, etnocentryzmu. Patrzymy na innych jako na usytuowanych gdzieś niżej, dalej. Uważamy, że nasze wzorce kulturowe, obowiązujące normy i regulacje są najlepsze z możliwych. W związku z tym bezkrytycznie przyjmujemy prawdy o konieczności ich upowszechnienia – „eksportu demokracji”. To razi, nierealistyczne jest bowiem założenie, że można urządzić świat na jedną modłę. Te wątki były poruszane w dyskusji, nie czas zatem, by się do tego szerzej odnosić. Aczkolwiek

chciałbym zaznaczyć, że istnieją kraje czy systemy politycznej, które, jeśli wziąć pod uwagę przynajmniej oficjalne treści przekazywane w mediach, nie powinny ani chwili dłużej istnieć. A jednak one trwają. Mam na myśli różnego rodzaju przykłady autorytarnych reżimów, jak choćby z lubością wymieniane Kuba czy Korea Północna. Wydawałoby się z naszej, zawodnej perspektywy, że one już dawno powinny upaść. Rzeczywistość jest zatem znacznie bardziej złożona, niż to przedstawiają powszechnie powtarzane opinie oparte na bezrefleksyjnym i życzeniowym postrzeganiu świata.

Przechodząc do zasadniczej myśli, chciałbym wskazać na nieco inny aspekt sprawy, nie podejmowany w dotychczasowej dyskusji, a wiążący się z samym pojęciem demokracji. Mówię to z perspektywy ekonomisty, przede wszystkim mając więc na względzie relacje między rynkiem, kapitalizmem i państwem dobrobytu oraz oczywiście jakość demokracji jako takiej... Przyjmując tę optykę, należy się zastanowić, co tak naprawdę stanowi istotę, esencję demokracji. Ujmując rzecz eufemistycznie – zdrowe społeczeństwo, takie, które jest w pełni upodmiotowione, także w wymiarze materialnym. Tylko przy takim społeczeństwie można mówić o demokracji. W takim razie następna kwestia: kiedy można mówić, że społeczeństwo jest upodmiotowione? Kiedy istnieją jasne reguły gry i są one powszechnie respektowane. Te reguły niewątpliwie mają także wymiar ekonomiczny. W tym kontekście poważne obawy budzi proces, zapoczątkowany jeszcze w latach 70. XX w., a polegający na systematycznym rozmontowywaniu państwa dobrobytu w krajach zachodnich. Spójrzmy, jakie są konsekwencje tego procesu dla jakości demokracji. Otóż skutkuje on ogromnymi dysproporcjami dochodowymi i rozwarstwieniem społeczeństw rozwiniętych. Stąd też bierze swoje źródło narastająca fala sprzeciwu i kontestacji wobec demokracji liberalnej. Nieprzypadkowo pojawia się ruch oburzonych. W tym miejscu powinno paść pytanie, czy aby nie czas na rewizję obowiązujących dotąd ekonomicznych paradygmatów, przede wszystkim powszechnie utożsamianych z tzw. szkołą chicagowską. Czy aby nie czas się zastanowić nad proponowanymi przez nią receptami na gospodarkę, państwo, a zatem i demokrację? Czy one nadal zachowują

aktualność? Trzeba pamiętać, że poglądy głównych przedstawicieli tej szkoły formowały się w określonych okolicznościach. Pochodzili oni z Europy Środkowej, z Austrii, która wydawała się dynamicznie rozwijać tuż przed 1914 r., a później się rozpadła. Potem doświadczyli faszyzmu opartego m.in. na interwencjonizmie państwa i jego silnych związkach z klasą średnią. Nauczeni osobistymi doświadczeniami oraz lekcją faszyzmu, chcąc uniknąć powtórki z historii, budowali swoje teorie w przekonaniu o konieczności trzymania państwa z daleka od gospodarki. Wydaje się, że znajdujemy się obecnie w punkcie zwrotnym w dyskusji o roli państwa czy, szerzej, władzy publicznej w gospodarce. Jest wysoce wątpliwe, by mile brzmiące dla ucha hasło deregulacji mogło stanowić wyłączne panaceum na ekonomiczne problemy współczesnych demokracji.

Kończąc, przy okazji chciałbym jeszcze nawiązać do pierwszego punktu mojej wypowiedzi, w kontekście eksponowanego w wystąpieniu prelegenta przykładu Chin. Wskazywany gospodarczy sukces tego kraju dokonuje się przy niewątpliwym silnym interwencjonizmie i braku demokracji w wersji liberalnej. Co oczywiste, wywołując konsternację i dyskomfort. Będąc dalekim od promowania tego przykładu jako godnego naśladowania, mogę się zarazem zastanawiać, na ile nie potwierdza on wyrażonej przeze mnie na początku tezy o potrzebie respektowania różnorodności i złożoności świata, kiedy prowadzi się rozważania na temat państwa i demokracji. Dziękuję.

Anita Modrzejewska

Dzień dobry, Anita Modrzejewska z Katedry Handlu Zagranicznego. Ja chciałabym się odnieść do wypowiedzi pana profesora Smolara, a konkretniej do dwóch poruszonych w niej aspektów, a mianowicie: czy demokracja jest przyczyną kryzysu oraz czy kryzys zagraża demokracji. Z mojego punktu widzenia, a spróbuję to ująć z perspektywy ekonomisty, należy traktować demokrację i gospodarkę raczej jako dwie zmienne egzogeniczne, które tylko w pewnych warunkach mogą na siebie oddziaływać, ale zasadniczo mamy do czynienia z endogennymi czynnikami erozji demokracji oraz źródłami kryzysu gospodarczego. Stąd bliższa byłaby mi raczej teza

postawiona przez pana doktora Nowotarskiego. W związku z tym powiedziałabym, że kryzys finansowy traktowany jako zmienna egzogeniczna w kategoriach ekonomicznych co najwyżej ujawnił kryzys demokracji rozumiany jako zmienna egzogeniczna w kategoriach politologicznych. Moje uwagi wynikają być może stąd, że jestem ekonomistą, a nie politologiem.

Kolejna sprawa. Ponieważ interesuję się integracją europejską jako pewnego rodzaju zagadnieniem naukowym, chciałabym się odnieść do problemu rozwiązywania kryzysu w Grecji przez Unię Europejską, gdyż moja interpretacja wydarzeń, jakie miały wówczas miejsce, jest nieco odmienna, zwłaszcza jeśli przysłuchamy się głosowi ludu greckiego. Wydaje mi się, że w tym kontekście warto byłoby się zastanowić, co dziś rozumiemy przez pojęcie demokracji: czy to są rządy ludu, czy to są rządy elit, która rządzi tym ludem. Moim zdaniem, jeśli duet Merkel i Sarkozy, połączony przez społeczeństwa Hiszpanii i Włoch w jedność i stąd nazywany Merkozym, doprowadza do obalenia demokratycznie wybranego premiera Grecji Papandreu, ponieważ ten chce poddać pod głosowanie w referendum pakiet rozwiązań, które przygotowała dla Grecji Unia Europejska, to niezależnie od tego, czy pomysł referendum pojawił się u Papandreu jako element polityki wewnętrznej, czy też nie, usunięcia premiera jednego państwa przez przywódców państw, których banki posiadają największy procentowy udział zakupionych greckich obligacji, nie traktowałabym jako przejawu poprawnego działania mechanizmu demokracji. Według mnie mamy tutaj do czynienia z klasycznym konfliktem interesów. Stąd moim zdaniem, trzeba by się raczej zastanowić nad tym, czy przyczyn erozji demokracji nie należy szukać również na szczeblu europejskim. Dziękuję bardzo.

Bernard Bińczycki

Bernard Bińczycki z Katedry Procesów Zarządzania. Chciałbym zapytać panów prelegentów, po pierwsze, o ocenę polskiej prezydencji w Unii Europejskiej zarówno w kontekście oczekiwań naszego kraju, jak i w kontekście kryzysu. Po drugie, chciałbym nawiązać do drugiego referatu pana profesora, a mianowicie do fenomenu utrzymania władzy przy kolejnych wyborach. Czy panowie nie wiązaliby tego

z koncepcją obowiązywania w pewnym zakresie czy funkcjonowania w naszym kraju pewnego rodzaju demokracji marketingowej? Przykładem tej demokracji była obietnica zniesienia abonamentu radiowo-telewizyjnego, dość chwytliwa i dotycząca praktycznie wszystkich wyborców. Jak wiemy, w tej chwili wielu osobom dostarcza się wezwania po pięciu latach z wysokimi odsetkami itd. W związku z tym pojawia się pytanie: czy panowie może prowadzą badania albo znają wyniki badań na temat zmian motywacji wyborczych Polaków, a mianowicie czy to jest motywacja światopoglądowa, czy może biznesowa, czy też dotycząca oczekiwań, że moje podatki będą wyższe, niższe i na co te środki pójdą? Czy polityka prorodzinna będzie wyglądała nadal tak jak do tej pory w żłobkach, przedszkolach, czyli że praktycznie nie istnieje. Czy obywatele patrzą przez pryzmat wysokości swojej emerytury, dostępności do lekarza, czy też są inne kryteria motywacji wyborczych? Dziękuję bardzo.

Jerzy Hausner

Jeżeli państwo pozwolicie, chciałbym sam sobie udzielić głosu i zająć się sprawami nieco ogólniejszymi, które zostały poruszone w wystąpieniu pana profesora Smolara. Prosiłbym też osoby zainteresowane o przeczytanie bardzo ciekawego tekstu, który pan profesor przygotował. Na jego końcu znajduje się przywołanie książki, która w tej chwili jest przedmiotem bardzo wielu poważnych rozważań, autorstwa Dani Rodriki, który sformułował dyskutowany dzisiaj trylemat w postaci tezy o niespójności i niezgodności globalizacji gospodarczej, demokracji politycznej i suwerenności narodowej. Rodrik uważa, że te trzy kategorie są nie do pogodzenia i współczesne napięcia wynikają właśnie z tego. Nie chcę polemizować z Rodrikim, nie jestem do tego jeszcze w tym momencie przygotowany, ale chciałbym się do tego odnieść trochę inaczej, jeśli chodzi o sposób rozumienia problemu. Demokracja, którą my opisujemy w podręcznikach, aczkolwiek już to korygujemy, demokracja, którą znamy, została ukształtowana w państwach europejskich zasadniczo po II wojnie światowej. I dla mnie jest to pewien mechanizm polityczny, coś, co szerzej określam jako keynesowskie narodowe państwo opiekuńcze czy państwo dobrobytu. Czyli w istocie rzeczy demokracja wią-

zała się z pewnym modelem działania państwa i z pewnym modelem działania rynku, który był korygowany przez państwo; była też zamykana w pewnym reżimie gospodarczym, który kontrolowało państwo narodowe. Taką demokrację poznaliśmy i do niej najczęściej podręcznikowo chcemy się odwoływać. Jednak w międzyczasie nastąpiło, po pierwsze, zglobalizowanie gospodarki i rynku. Po drugie, pojawiła się w naszym kontekście integracja europejska, umiędzynarodowienie, które nie jest tylko problemem UE, lecz także dotyczy szerzej bardzo wielu elementów władzy narodowej. Z tego punktu widzenia mamy po prostu naturalny problem – to, co zostało pomyślane na warunki państwa narodowego, stabilizującego pewien model gospodarki, po prostu nie pasuje ani do obecnego rynku, ani do obecnych mechanizmów władzy. Władza jest dzisiaj rozproszona, dużo bardziej niż kiedykolwiek, częściowo ulokowana, i to w sposób rozproszony na poziomie globalnym; jest to bardziej władza rynków finansowych niż władza polityczna, jest też władza umiejscowiona na poziomie ponadnarodowym, międzynarodowym, a częściowo na poziomie państwa narodowego, które jednak działa dziś w zasadniczo innym reżimie gospodarczym i w stosunku do innych partnerów gospodarczych.

To jest naturalny problem. Długo tego nie dostrzegaliśmy, bo uważaliśmy, że wszystko jest w porządku. Wynika to trochę z zachłyśnięcia się tymi zmianami, które nastąpiły dwadzieścia lat temu, i dopiero obecny kryzys tak naprawdę ujawnia słabość tego mechanizmu sprawowania władzy, demokratycznego mechanizmu. Kryzys ułatwia zrozumienie tego problemu z bardzo prostego powodu. To nie jest taki kryzys jak zwykle, związany z koniunkturą. To jest kryzys systemowy, w którym tak naprawdę zostały zakwestionowane znane mechanizmy zarządzania kryzysowego.

Gospodarka rynkowa, gospodarka kapitalistyczna przechodziła niejednym kryzys. Za każdym razem trzeba było sięgać po mechanizmy zarządzania kryzysowego. Tylko że te znane obecnie po prostu nie działają. Są nieskuteczne i to spowodowało, że nagle powstał ten dramatyczny problem, w którą stronę iść. Dawniej UE zawsze wiedziała, że trzeba uciekać do przodu, tylko że dzisiaj nie wiadomo, gdzie jest przód.

Na tym polega problem Unii. Dlatego też sądzę, że dyskusja o demokracji powinna nas skłaniać do głębokiej refleksji. Zazwyczaj pytamy o tradycyjne rozumienie demokracji, czy to jest władza ludu, czy władza elit nad ludem. Teraz wydaje się, że dobrze byłoby, abyśmy zaczęli dyskutować o tym, co jest wewnętrznym mechanizmem demokracji, np. zastanawiając się, ile demokracja jest warta jako mechanizm zapobiegania pewnym patologiom, na ile jest mechanizmem korekty polityki, a na ile – mechanizmem uwalniania pewnych zasobów rozwojowych. Jeżeli zaczniemy rozkładać to, czym jest demokracja, na różne elementy, to łatwiej będzie przypisać je do tej struktury władzy, z którą mamy do czynienia, a mamy do czynienia z zupełnie inną strukturą władzy.

Tak czy owak, świat się stał kompleksowy, wielopoziomowy, władza jest rozproszona i też wielopoziomowa, w związku z czym jedyną odpowiedzią nie może być uproszczenie, sprowadzenie wszystkiego do hegemonii z jakiegoś punktu widzenia. Potrzebne jest dostosowanie władzy do tego, co jest, czyli wykreowanie mechanizmu wielopoziomowego zarządzania, a także aktorów, którzy są zdolni uczestniczyć w wielopoziomowym zarządzaniu. I nie negując znaczenia partii politycznych, mam wrażenie, że nie można uważać, iż wszystko da się rozwiązać przez partie polityczne i że gdy partie będą osłabione, to nie będzie demokracji, lub że, na odwrót, wszystko można ulokować w społeczeństwie obywatelskim i że ono samo te problemy rozwiąże. Ale jak przypisać partie do świata globalnego? Jak przypisać partie do UE? Mam wrażenie, że szukamy bardzo prostych rozwiązań, podczas gdy, w tym przypadku, takich rozwiązań nie będzie.

Dzisiaj trwa w Europie dyskusja, czy jedynym rozwiązaniem problemu kryzysu strefy euro, której upadek grozi katastrofą gospodarczą Europy, jest jej federalizacja. Trzeba sobie bowiem zdać sprawę z tego, że w istocie rzeczy proces, który się rozpoczyna, do tego zmierza, i tutaj rodzi się pytanie, czy są możliwe Stany Zjednoczone Europy. Uważam, że nie, bo większość tych państw europejskich to są państwa, które mają tak starą i głęboką tradycję narodową, że nie da się ich przerobić na Stany Zjednoczone Europy. Nie wyobrażam sobie Wielkiej Brytanii

czy Francji jako części Stanów Zjednoczonych Europy. A jeśli federalizacja Europy nie jest rozwiązaniem, to chcę powiedzieć, że ten proces, który się rozpoczął, zostanie zablokowany w jakimś punkcie. Może już na etapie unii fiskalnej, a być może na etapie unii transferowej, a jak nie, to na etapie unii politycznej. Co nie znaczy, że nie należy w tym kierunku, po części być może, zmierzać. W takim razie rodzi się pytanie, czy nie ma innej drogi niż federalizacja Europy. Być może inną i bezpieczniejszą dla Europy drogą jest raczej myślenie o federalizacji państw narodowych, czyli powrót do idei, do problemu, jak ma być zbudowane współczesne państwo narodowe funkcjonujące w warunkach globalizacji. Dalej, jaka ma być rola w tym współczesnym państwie narodowym społeczeństwa obywatelskiego? Jaki ma być ustrój współczesnego europejskiego demokratycznego państwa narodowego, oparty na zasadzie subsydiarności. Myślę, że dopiero z tej perspektywy warto się zastanowić nad dalszym przebiegiem procesu integracji europejskiej. Rzeczywiście dzisiaj jest tak, że czas nas goni, upadek jednego z wielkich banków europejskich pociągnie za sobą niekontrolowane procesy i najprawdopodobniej politycy muszą szukać rozwiązania, które będzie suboptymalne, aby w ogóle miało jakiegokolwiek walory operacyjne. Po prostu należało dużo wcześniej myśleć na ten temat.

I na końcu myśl, która wydaje mi się szczególnie adresowana do młodych ekonomistów, znajdujących się tutaj na sali. Jeżeli chcemy znaleźć odpowiedź na pytanie, jak powinna wyglądać wolność i demokracja w nowych warunkach, to musimy zastanowić się nad tym, jak ma wyglądać rynek. Bo bez wyobrażenia o tym, jak ma wyglądać współczesna gospodarka rynkowa i społeczeństwo obywatelskie, nie da się znaleźć odpowiedzi na to podstawowe pytanie, które sobie tutaj zadajemy, ponieważ ono nie jest samistne. Istota problemu polega na tym, że keynesowskie narodowe państwo dobrobytu było budowane na zasadzie zmierzania do równowagi, to była koncepcja ukierunkowana na to, aby budować, stabilizować gospodarkę. Żyjemy dzisiaj w świecie, w którym trzeba kreować mechanizmy zdolne do wywoływania kontrolowanej zmiany. Żadnego punktu równowagi, takiego, który był strategicznym celem w połowie ubie-

głego wieku, już najprawdopodobniej nigdy nie będzie. Chyba że chcielibyśmy się cofnąć do jakiegoś globalnego mechanizmu totalitarnego, ale rozumiem, że to nie jest w Europie nikomu bliskie.

Bartłomiej Nowotarski

Panie rektorze, partie islamskie czy postislamskie już w sumie powygrały wybory. Problem, co dalej? Grozi nam w tych krajach syndrom partii dominującej. Czy coś, co jest w Turcji, gdzie ta partia postislamska nigdy władzy nie odda, bo zawsze będzie miała taki elektorat i próg wyborczy dla małych partii, że zawsze będzie rządzić lub współrządzić. Na razie ci w Afryce Północnej deklarują koalicyjność, bo jak dostaną ok. 40%, to muszą tak postępować. Umówili się przecież co do skrajnie proporcjonalnego systemu wyborczego. Gdyby mieli taki system jak w Polsce, system d'Hondta, to (...) uzyskaliby 67% w parlamencie i praktycznie rządiliby sami. Tylko, że oni stoją też przed wyzwaniem, już zaczęli uprawiać politykę i wiedzą, że idzie kryzys. Jak oni wezmą całą odpowiedzialność na siebie, to też się skończy poparcie społeczeństwa, które dzisiaj wynika z tradycji walki z dyktaturą. Nasze wyroki więzienia, solidarnościowe, to nic w porównaniu z 16–18 latami, które dostawali szefowie Al-Kaidy. Szli do więzienia, mając 25 lat, a wychodzili w wieku 40 lat, jak szef w Tunisie czy gdzieś indziej. Więc oni naprawdę wygrali, bo to jest reakcja na to, co się działo w ich państwie. Są podzieleni. Bardzo długo przyglądałem się egipskim Braciom Muzułmanom: jak młodzi szli do więzienia, bo ich Mubarak zamykał, to starzy wieszali na sztandarach islam i szariat. Jak starzy szli, to młodzi kasowali te hasła i pisali wybory parlamentarne itd., itd. Jest ta presja salawitów, jest wewnętrzna presja starszych, ale wszędzie będzie kompromis, jak się boicie państwo, czy będzie szariat dominował, czy nie. Wszędzie się wypracowuje wersję, gdzie będzie jakiś mufti czy jakaś rada sygnalizująca parlamentarzystom, że coś jest niezgodne z szariatem, i oni i tak będą robić, co będą chcieli, tylko ewentualnie z głosem doradczym.

Padło tu ważne pytanie, co to jest muzułmańska demokracja. To też jest problem. Ja jestem założycielem Instytutu Badań nad Islamem

w Polsce, rozmawiałem z tutejszym szefem imamów. I on mówił do mnie tak: wy w swojej liberalnej demokracji musicie robić to, co lud chce, a my mamy szariat za plecami. A ja mu mówiłem: nie! My mamy *rule of law*, czyli rządy prawa, tych zasad nie może zmienić większość rządząca, a jeżeli zmieni, to uznamy to za uzurpację czy też napad na demokratyczne państwo. A szariat tak naprawdę zabrania trzech czy czterech rzeczy: nie jeść wieprzowiny, nie uprawiać seksu pozamałżeńskiego, nie pić alkoholu – a przecież popijają – szariat nie zabrania budowania dobrego państwa. I teraz pytanie: sięgamy po wzorce, zaprasza się nas, jeździmy. Nie zaprasza się Amerykanów, nie zaprasza się z reguły Anglików ani Francuzów, bo to kolonialisci – akurat jest koniunktura na nas, bo wywalczyliśmy sobie sami wolność.

Klany rzeczywistość są problemem, bo tam panuje taki podział, że powodem do chwały jest to, że ja zatrudniam ciotkę, żonę, córkę, szefową partii itd. To jest taka polityka prorodzinna, jak u nas Pawlak mówił: że zatrudnić rodzinę to jest polityka prorodzinna. Zobaczmy, co zrobi Kirgistan, tam Burdanadze w tej chwili pisze konstytucję i podkreśla, że dlatego nie będzie startował w wyborach prezydenckich. Drugi raz po Akajewie mają szansę zbudować, przechodzą na system semiprezydencki, taki jak nasz, żeby bardziej zbalansować władzę.

To prawda, demokracja działa powoli. Niektórzy uważają, że to jej problem, bo to jest system transakcyjny. Pytanie, czy w dobie kryzysu musi działać szybciej, czy nie? Czy jak Senat starożytnego Rzymu musimy komuś powierzyć dyktaturę na czas określony? Ale wiemy, jak Senat skończył, zaczął za często powierzać taką dyktaturę. Ja widzę walor w transakcyjnym postępowaniu demokratycznym. Dwa walory. To system mniej decyzyjny, to prawda, ale bardziej reprezentacyjny, więcej opcji społecznych i politycznych jest uwikłanych w proces podejmowania decyzji ze względu na system *check and balance*. I jest bardziej stabilny, bo każdy, kto razem i wspólnie wypracowuje jakiś kompromis, jutro nie przewróci go do góry nogami. Jeżeli jest poza tym systemem, ten zaś ma charakter dwublokowy: raz jedni, raz drudzy, to wtedy ci drudzy przychodzą i wywracają wszystko do góry nogami i w perspektywie długofalowej, ponadkaden-

cyjnej polityki jest to moim zdaniem mniej stabilne. Dziękuję uprzejmie.

Andrzej Antoszewski

Proszę państwa, wiele pytań tutaj padło, ale osiłą organizującą wydaje mi się potrzeba odpowiedzi na pytanie, czy istnieje jakieś uniwersalne pojęcie demokracji. Myśmy do tej pory, próbując zdefiniować demokrację, mieli problem z jednym członem tego pojęcia, mianowicie z tym, czym jest lud. Natomiast dziś mamy problem z tym, czym jest władza. Czy władza jest rzeczywiście mocą sprawczą wywoływania pewnych skutków, czy trzeba inaczej na to popatrzeć – kto ją sprawuje? Czy faktycznie władzę sprawują partie, prezydenci, premierzy i ministrowie? Czy należy ona do innych, niekontrolowanych społecznie podmiotów, takich jak wielkie korporacje, banki lub media? Czy też może mają ją np. agencje ratingowe, od których decyzji bardzo wiele zależy. Trzeba sobie dokładnie odpowiedzieć na pytanie, co to jest rządy, co to jest władza – jakkolwiek człon ten do tej pory wydawał się nie budzić wątpliwości. I na tej podstawie starać się poszukiwać definicji, która mogłaby objąć jednym wspólnym mianownikiem bardzo różne procesy i rozwiązania. Jeśli mówimy o tych endogennych przyczynach powstawania albo umierania demokracji, to trzeba sobie powiedzieć, że rozwiązania instytucjonalne, które ją cechują, są bardzo różne i nie one przesądzają o jej jakości. Wielka Brytania nie potrzebuje sądu konstytucyjnego ani sądowej kontroli konstytucyjności ustaw. Szwajcaria nie potrzebuje podziału władzy. W Wielkiej Brytanii przez długi czas bank centralny był zależny. Rozwiązania mogą więc być różne, ale jednak poszukujemy jakiegoś wspólnego mianownika. Jakie zatem pytania są istotne? Po pierwsze, czy kryzys grozi demokracji? Po drugie, czy demokracja jest przyczyną kryzysu? I po trzecie, czy demokracja może być metodą wyjścia z kryzysu? Są to pytania, które powinny organizować naszą dyskusję.

Czy zatem kryzys grozi demokracji? Oczywiście młodym demokracjom grozi, m.in. z tego powodu, że po pierwsze, te rozwiązania instytucjonalne są słabo ze sobą zespolone. Świadczy o tym to, jak długo dochodzimy do w miarę spójnej konstytucji lub jak często ją poprawiamy. Po drugie, że nie ma bezpośredniego przełożenia

woli wyborców na faktyczny, polityczny wynik wyborów. Po trzecie, dlatego – ktoś z państwa pytał o polską osobowość – że wszystkie badania w Polsce wykazują oczywiście, iż jest ona społeczeństwem, w którym osobowość autorytar-na pozostaje dominująca. To nie jest, rzecz jasna, czynnik sprzyjający demokracji. Przed wejściem na salę rozmawialiśmy o książce Krzysztofa Korzeniowskiego o paranoi politycznej; otóż autor wyraził we wstępie podziękowania dla polskiej klasy politycznej za nieustającą inspirację do badań nad paranoją. To także nie jest czynnik pozytywny.

Czy demokracja jest przyczyną kryzysu? Może nią być, jeśli za pomocą demokratycznych mechanizmów upoważniamy do sprawowania władzy tych, którzy mogą ją wykorzystać w niegodnym celu – np. dla pozbycia się niewygodnych rywali politycznych – lub po prostu nie mają kwalifikacji do jej sprawowania. Może nią być, jeśli rządzący chcą wykorzystać demokratyczne instytucje jako fasadę dla autorytarnych lub skrajnie populistycznych posunięć. Tak dzieje się niekiedy z referendum, które – co warto podkreślić – chętnie bywa wykorzystywane przez autorytarnych władców. Ale jeszcze groźniejszy jest brak demokracji, w tym sensie, że posunięcia rządzących jaskrawo mijają się z oczekiwaniami społecznymi. Najgroźniejszy jest zaś brak odpowiedzialności wywodzący się z przeświadczenia, że samo uzyskanie władzy oznacza nieomyślność.

Czy demokracja jest metodą wyjścia z kryzysu? Albo, inaczej, czy demokracja, tak jak ją rozumiemy, jest możliwa do wprowadzenia w dowolnym obszarze świata? Prawdę powiedziawszy, do tej pory tam, gdzie te rewolucje wybuchały, nikt nie przewidział, że one się dokonają. Samuel Huntington był pierwszym, który to jakoś usiłował zebrać w całość. Wyróżnił trzy fale demokracji, i co ciekawe, badając podłoże intelektualno-religijne przemian politycznych, stwierdził, że islam nie jest przeszkodą, a socjalizm tak. To trochę kamyczek do ogródka do tego, jak to się może potoczyć w innych warunkach. Istnieje zatem niebezpieczeństwo, że kryzys może obalić demokrację. Te doświadczenia historyczne mogą się powtórzyć. Nie mamy żadnych powodów sądzić, że jesteśmy immunizowani od tego, ale równocześnie można powiedzieć, że demokratyzowanie to nie tylko sprowadzanie demokra-

cji do rywalizacyjnych wyborów, lecz także do przełamywania pewnych barier kulturowych. Chińczycy mówią: my przestrzegamy praw człowieka i obywatela, tylko inaczej je rozumiemy. I tutaj dialog staje się trudny. Otóż ten dialog międzykulturowy jest czynnikiem, który mógłby być ważny – przepraszam za prześlizgnięcie się nad tematem – ale czas jest nieubłagany. Krótko więc powiem, że nikt lepszej metody przewycięzania kryzysu na razie nie zaproponował. Dziękuję bardzo.

Wypowiedź końcowa

Aleksander Smolar

Dziękuję bardzo. Jestem oszołomiony liczbą pytań i bardzo ważnych, interesujących wypowiedzi. Odpowiedzenie, chociażby na większość z nich, jest rzeczą niezmiernie trudną. Spróbuję pogrupować zadawane pytania.

Najpierw poruszę kwestię w swej esencji geopolityczną: na ile mamy obecnie do czynienia z unipolarnym, duopolarnym czy wielopolarnym światem? Zaczynam od tego tematu, gdyż postawiony problem jest świetną ilustracją tego, o czym mówił profesor Hausner, że mamy obecnie do czynienia ze światem *in statu nascendi*, którego opis, intelektualne opanowanie jest rzeczą niezmiernie skomplikowaną. Świat „zimnej wojny” był zorganizowany wokół dwóch biegunów: Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Świat ten był głęboko niesprawiedliwy, ale przy tym dość stabilny. Tylko na obrzeżach dwóch bloków – w Afryce, Ameryce Południowej czy Azji – zdarzały się konflikty, w których dochodziło do ich pośredniej konfrontacji. Po upadku ZSRR nastąpił krótki okres demokratycznej euforii i całkowitej dominacji Stanów Zjednoczonych; mówiono nawet o imperialnej Ameryce: o imperium demokratycznym, dobrotliwym, liberalnym. To się skończyło gdzieś na polach bitwy Afganistanu i Iraku. Nikt już, poza wrogami, nie mówi dziś o imperialnej Ameryce. Widzimy, że Stany Zjednoczone nie potrafią zmusić swoich relatywnie słabych sojuszników do zachowań zgodnych z oczekiwaniami Waszyngtonu, nawet gdy nie chodzi tylko o interesy USA. Na przykład zmusić do ustępstw Izrael w sprawie osadników, kiedy stawką jest los Bliskiego Wschodu, któ-

ry może wybuchnąć. Symbolicznie słabość USA ujawnił szczyt ekologiczny w Kopenhadze. Na jego zakończenie odbyło się nieformalne spotkanie przywódców czołowych mocarstw, na które Stany Zjednoczone nie zostały zaproszone, i Obama po prostu wdarł się na salę obrad. Byli tam przedstawiciele Rosji, Chin, Brazylii, Południowej Afryki, Indii. Nie zaproszono prezydenta USA, by mówić o jednym z podstawowych problemów współczesnego świata! Nie jest to na pewno świat unicyentryczny.

Neil Ferguson – wybitny brytyjsko-amerykański historyk – lansował ideę Chinoameryki, dwugłowego mocarstwa. Koncepcję tę wykorzystał Zbigniew Brzeziński i zaczął mówić o dominacji G-2. Nie ma żadnego panowania Stanów Zjednoczonych i Chin. Z różnych powodów: Chiny nie są aż tak mocne, nie chcą też brać na siebie odpowiedzialności za świat, a rola imperialna implikuje nie tylko dominację, lecz także wzięcie odpowiedzialności, płacenie za stabilizowanie, za rozwój, za pokój świata. Oba kraje nie mają zresztą zbyt wielu wspólnych interesów, nie mówiąc o problemie uznania przez inne państwa. Mówiło się o G-20. I rzeczywiście, w pierwszej fazie kryzysu owa dwudziątka odegrała pozytywną rolę, teraz jednak G-20 zostało w istocie zmarginalizowane; nie mówiąc o tym, że G-7 i G-8 – tak kiedyś ważne – popadły w niemal całkowite zapomnienie. Obecnie mówi się najczęściej o G-0, co oznacza, że nie ma żadnego dominującego ośrodka, który jest w stanie ustanowić reguły gry globalnej, zapewnić pokój i stabilność. Czy wyłoni się taki i kto zajmie jego miejsce, tego nie wiemy. Dzisiaj świat sprawia raczej wrażenie pogłębiającego się chaosu, coraz dalej posuniętej entropii.

Pytanie, które formułowano w wielu postaciach, dotyczy relacji demokracji, rynku i globalizacji. Bardzo interesująca jest tu kwestia obszarów i granic polityki. Granice procesu politycznego ulegały w historii częstym zmianom. Pole zajmowane przez politykę ewoluowało. Przez pół wieku polityka, zdominowana przez ideał państwa opiekuńczego, wchodziła dość głęboko w procesy gospodarcze i społeczne. Następnie, wraz z rewolucją konserwatywną końca lat 70. stopniowo, choć w ograniczonym stopniu, z tych obszarów się wycofuje. I teraz obserwujemy masowy powrót państwa na

te obszary ze względu na kryzys. Każda zmiana prowadzi do swoistej renegocjacji kontraktu społecznego między zasadą rynkową a demokratyczną. Przypuszczam, że obecna zmiana nie ma incydentalnego charakteru i może się wiązać ze zmianami w procesie demokratycznym. Przeobrażenia będą też dotyczyć usytuowania polityki: na poziomie państwa narodowego, regionów, Unii Europejskiej czy na poziomie globalnym. Zjawisko globalizacji wywiera istotny wpływ na owe zmiany pola polityki w ostatnich dziesięcioleciach. Weźmy inny przykład zmiany sfery polityki: chodzi o obszar obejmujący relacje między mężczyznami i kobietami, sferę stosunków rodzinnych, seksualnych... Do niedawna była to sfera stosunków ściśle prywatnych, została jednak upolityczniona, weszła do domeny publicznej. Stanowiło to przede wszystkim rezultat walki kobiet o równouprawnienie – bo upolityczniają zawsze słabsi; w procesie politycznym odgrywa rolę liczba zainteresowanych oraz siła ich motywacji i zaangażowania. I oczywiście najbardziej aktywne środowiska reprezentujące kobiety były zainteresowane tym, żeby kwestia równości stała się elementem walki politycznej, walki polityków o głosy kobiet. To stało się faktem niedawno i u nas. Od Kongresu Kobiet politycy nie pozwalają już sobie na lekceważenie przedstawicielek tej płci, na żarty z feministek. Ten przykład wskazuje na zmienność pola polityki. Wiele jest czynników, które mogą na to wpływać.

Jakie są granice rynku? Tak jak w przypadku polityki – stanowiąc niejako ich odwrotność – granice działania praw rynkowych są zmienne. Ekonomisci liberalni mają tendencję do ograniczania do minimum obecności polityki w procesach gospodarczych i w domenie społecznej. W istocie fundament myślenia liberalnego jest antypolityczny. Ta wizja bazuje na przekonaniu o autoregulacyjnym charakterze mechanizmów rynkowych, o tym, że w sposób naturalny, bez interwencji zewnętrznych, prowadzą one ku równowadze. W istocie, czasami sprzyjają stabilizacji, czasami zaś przeciwnie – przyczyniają się do destabilizacji. Wspomniany przez Jerzego Hausnera Dani Rodrik pisał, że tak naprawdę tam, gdzie jest najsilniejszy rynek, tam jest również najsilniejsze państwo. Silne państwo – co nie znaczy oczywiście wszechobecne – jest

potrzebne, żeby tworzyć ramy, zapewnić respektowanie reguł, w ramach których rynek może efektywnie funkcjonować.

Teraz, ze względu na kryzys, który przeżywamy, również na kryzys demokracji, centralne miejsce w różnych ruchach protestu zajął problem sprawiedliwości przeciwko silnemu zróżnicowaniu społecznemu, które się dokonało w ostatnich dziesięcioleciach pod wpływem globalizacji z jednej strony i liberalnej rewolucji – z drugiej. *Welfare state*, państwo opiekuńcze, był pewnym ideałem i do dzisiaj dominuje w wyobraźni społecznej narodów Europy jako wzór budowania warunków pokoju społecznego. Próbowałem pokazać, jak spadek tempa wzrostu gospodarczego, poczynając od lat 70., postawił pod znakiem zapytania państwo opiekuńcze tworzone po wojnie. Nie ma obecnie szans na tak szybki rozwój jak w tamtym okresie. Pozwalał on na godzenie dwóch sprzecznych logik, logiki wolnorynkowej i logiki polityki demokratycznej, która umożliwia grupom słabszym ekonomicznie, ale za to licznym, wpływanie na proces społecznej dystrybucji, na zapewnienie sobie warunków godnego życia i stworzenie szans względnie równego uczestniczenia w procesie politycznym, co wymaga nakładów na edukację, dostępu do kultury, a także nakładów na służbę zdrowia. Trudno dzisiaj powiedzieć, jakie zostaną ustanowione nowe warunki społecznej równowagi. Czy zmierzać będziemy ku światu, który coraz bardziej, w coraz szybszym tempie, żyć będzie kosztem przyszłości i eksploatacją przyszłych pokoleń? Czy też będą zachodziły zmiany w sposobie funkcjonowania demokracji, co pozwoli na zawarcie społecznych kompromisów ograniczających nierówności, ale też rozmiary państwa opiekuńczego, zmniejszając presję na eksploatację przyszłości?

Padło dużo konkretnych pytań dotyczących bezpośrednio demokracji, chociażby jej definicji. Tradycyjna definicja kładła nacisk na mandat społeczny władzy demokratycznej, na to, że demokracja to była władza ludu i dla ludu, za pośrednictwem wyłonionych i kontrolowanych reprezentacji. W dzisiejszym, coraz bardziej skomplikowanym świecie następuje przesunięcie punktu ciężkości w funkcjonowaniu władzy demokratycznej od władzy ustawodawczej do wykonawczej. Rola władzy ustawodawczej staje się coraz trudniejsza, zważywszy na złożoność

materii legislacyjnej, z jaką musi się zmierzać. Skomplikowanie procesów politycznych prowadzi też do osłabienia więzi klasy rządzącej z obywatelami. Stąd też mnożenie się ruchów populistycznych jako wyraz protestu przeciwko coraz bardziej technokratycznej władzy. Problemy z obecnymi formami demokracji prowadzą do poszukiwania jej nowych form. Mówi się dużo o „demokracji deliberatywnej”, o wykorzystywaniu w procesach politycznych możliwości, jakie stwarza Internet. Podam też dwa przykłady, z którymi spotkałem się ostatnio, redefinicji demokracji, poszukiwania sposobu dostosowania idei demokratycznej do obecnych warunków coraz bardziej złożonego świata. Wybitny socjolog i historyk francuski Pierre Rosanvallon, podkreślając centralną rolę władzy wykonawczej, kładzie nacisk przede wszystkim na jej transparentność i kontrolę społeczną. Słyszałem też ostatnio, jak pewien wybitny prawnik niemiecki, były sędzia Trybunału Konstytucyjnego, przy ocenie funkcjonowania demokracji akcentował nie tyle źródła jej pochodzenia, sposoby wyłaniania reprezentantów wspólnoty politycznej, ile konsekwencje, ocenę efektów, jakie dana władza demokratyczna przynosi. Zawarta tu jest ryzykowna idea, że demokratycznym systemem nazywać należy taki, który zaspokaja potrzeby społeczeństwa. Nie ma tu miejsca na rozwinięcie powyższych idei. Chodziło mi tylko o zasygnalizowanie kierunków poszukiwań.

Kolejny problem dotyczy warunków, w jakich istnienie demokracji jest możliwe. Od sławnej pracy Lipseta mamy ogromną liczbę rozważań na temat warunków ekonomicznych, kulturowych i społecznych, jakie muszą być spełnione, aby mogła uformować się trwała demokracja. Tak naprawdę nikt nie może udzielić tu definitywnej odpowiedzi. Wybitny politolog i socjolog amerykańsko-polski Adam Przeworski, specjalista od systemów autorytarnych i demokracji, wyznaczał pewne standardy ekonomiczne, które muszą być spełnione, aby demokracja była możliwa. Ale przecież mamy demokrację, największą demokrację – mówię o Indiach – gdzie wciąż pozostają obecne elementy systemu kastowego! Interwencję w Iraku uzasadniano m.in. za pomocą tezy, że w każdych warunkach ekonomicznych i kulturowych demokracja jest możliwa. Neokonserwatyści – entuzjastycz-

ni zwolennicy interwencji – zarzucali wręcz rasiizm antyarabski zwolennikom tezy przeciwnej.

Odwołam się do tezy sformułowanej w połowie lat 80. przez Samuela Huntingtona dla pokazania, jak złożony i niepewny jest problem określenia warunków, w jakich istnieć może liberalna demokracja. Przykład dotyczy nas bezpośrednio. Otóż Huntington opublikował wówczas artykuł o demokracji, w którym był jeden tylko akapit poświęcony perspektywom demokratycznym krajów rządzonych przez komunistów. Jego teza była następująca: w krajach komunistycznych demokracja jest niemożliwa, nie ma bowiem demokracji bez własności prywatnej, a nie istnieje możliwość powrotu do poprzedniego stanu w krajach, w których własność prywatna została zlikwidowana. Tę tezę głosił również bardzo wybitny konserwatywny socjolog i badacz religii Peter Berger. Dowodził on, że powrót do kapitalizmu nie jest możliwy w krajach, w których zlikwidowano własność prywatną, albowiem kapitalizm nie ma własnej zasady legitymizacji prawa własności, zwłaszcza jeżeli chodzi o wielką własność. Jej uznanie społeczne może wynikać jedynie z tradycji, z samego faktu trwania, ze związków z religią, z demokracją. Sam kapitalizm nie dysponuje własną zasadą moralnego uprawomocnienia własności prywatnej, zwłaszcza wielkiej. Tezy to interesujące, ale jakżeż nieprawdziwe w świetle naszych doświadczeń. W 1989 r. popularne było metaforyczne pytanie: czy można z zupy rybnej ponownie odtworzyć żywą rybę? Innymi słowy, czy można na gruzach PRL-u odbudować system wolnego społeczeństwa i wolnej gospodarki? Nasze kraje udowodniły, że jest to możliwe albo że metaforyczna ryba – czyli społeczeństwo – nie była tak naprawdę „ugotowana”, a więc że społeczeństwo pozostało żywe, zdolne do kreatywnych reakcji.

Oczywiście nie wiemy, jaka będzie przyszłość Chin i opublikowano masę artykułów wyrażających przekonanie, czy wręcz nadzieję, że ten niezwykły wzrost zostanie zablokowany wewnętrzną niesprawnością dyktatury. Ale dwadzieścia lat temu też publikowano wiele prac głoszących tę tezę. Nic nie wiemy o przyszłości. Możliwe, że obecna dynamika ulegnie okresowemu załamaniu, tak jak było w Japonii w latach 90. Faktem jest, i to stanowi dla nas wyzwanie, że dyktatura może w tak ogromnym kraju zapewnić przez

dziesięciolecia tak znakomite rezultaty gospodarcze.

Wbrew niektórym sugestiom nie jestem obrońcą autorytaryzmu i nie przedkładam chińskiego systemu nad demokrację. Nie, ja chciałem jedynie pokazać dylematy, przed którymi stanęły dzisiaj kraje demokratyczne. Są to wyzwania zewnętrzne – głównie ze strony nowych potęg – ale są też wyzwania wewnętrzne: jak znaleźć nowy kompromis między zasadą rynkową i demokratyczną, tak aby przezwyciężyć obecny kryzys, odbudować szanse rozwoju w warunkach pokoju społecznego. Demokracje przeżywają dziś kryzys reprezentacji, uczestnictwa, efektywności, zaufania. Ruchy protestu, które rozlały się po świecie rozwiniętym, reakcje młodzieży nie wyrażały pogardy dla klasycznego procesu demokratycznego. To były ruchy afirmujące wartości demokratyczne, zarazem jednak krytykujące demokracje realnie istniejące. Uczestnicy tych ruchów nie chcą tworzyć partii, nie chcą organizacji oficjalnych, nie chcą nawet zajmować przestrzeni przewidzianej dla aktywności politycznej. Okupowanie placów i ulic było też symboliczną formą manifestowania tej odmowy.

Wspomniany już konserwatywny myśliciel, Samuel Huntington, twierdził w połowie lat 70., że zagrożeniem dla demokracji jest nadmierna aktywność obywateli. Nadmierne oczekiwanie, formułowanie zbyt wielu rewindykacji uniemożliwia w istocie aktywny proces decyzyjny i destabilizuje demokrację. Istotnie, nie wykluczam, że jedną z odpowiedzi na kryzys demokracji może być mnożenie instytucji uformowanych na wzór trybunałów konstytucyjnych i banków centralnych. Myśmy nie mieli w tradycji europejskiej ani niezależnych banków centralnych, ani niezależnych trybunałów konstytucyjnych. Mamy obecnie dwie instytucje, które są fundamentalnie niedemokratyczne i które zarazem sytuują się na szczycie prestiżu i zaufania w państwach demokratycznych. Oczywiście, istnieje związek tych instytucji z procesem demokratycznym, ponieważ – biorąc pod uwagę przykład Polski – zarówno sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, jak i członkowie Rady Polityki Pieniężnej są wybierani czy nominowani przez instytucje demokratyczne. Ale od momentu nominacji członkowie obu ciał pozostają całkowicie od polityki niezależni.

Nie można wykluczyć, że wola pogodzenia zasady demokratycznej z efektywnością, kompetencją i zdolnością myślenia w szerszych perspektywach niż zazwyczaj w polityce może prowadzić do powstawania innych instytucji o podobnym charakterze. Innymi słowy, być może po to, aby uczynić proces demokratyczny bardziej efektywnym, trzeba od niego względnie odizolować pewne obszary decyzji, które można odpolitycznić. Na pewno pociągnęłoby to za sobą pewne koszty dla demokracji, ale jak mówią ekonomiści, stoimy w sytuacji pewnego wyboru, *trade-off*, nie ma bowiem lunchu za darmo. Pewien koszt w postaci zawężenia pola polityki mógłby zarazem oznaczać wzrost efektywności procesu decyzyjnego, większą też sprawność nieco zawężonego procesu demokratycznego.

Bartłomiejowi Nowotarskiemu w odpowiedzi chciałbym powiedzieć, iż ja naprawdę nie jestem zwolennikiem systemu sowieckiego. Natomiast faktem jest, że presja samego istnienia Związku Radzieckiego i pewnych mitów, których był on źródłem, oddziaływały od lat 30. na politykę wewnętrzną państw demokratycznych, poczynając od *New Deal* Roosevelta, co było częściowo odpowiedzią na mit pierwszych pięćdziesiąt lat. Podobnie idea państwa dobrobytu powstała częściowo w strachu przed wielkim mitem socjalistycznym: równości, bezpieczeństwa pracy, powszechnej ochrony zdrowia, powszechnej edukacji. Warto pamiętać o ówczesnej atmosferze fascynacji sowieckimi osiągnięciami. Podam jeden przykład. Jeszcze w latach 60. wybitny ekonomista, profesor w London School of Economics, Peter Wiles, napisał książkę *Political Economy of Communism*. Jeden z rozdziałów nosił tytuł „Growth versus choice”. Wiles wyrażał w nim przekonanie, iż system sowiecki jest marnotrawny, znacznie mniej efektywny niż gospodarka rynkowa, ale równocześnie jest on w stanie za pomocą przymusu narzucić znacznie wyższą stopę oszczędności i rozwoju gospodarczego niż państwa demokratyczne i dlatego ZSRR wygra z Zachodem wyścig rozwojowy. Wiles był przy tym zdecydowanym antykomunistą! Innymi słowy, system komunistyczny był postrzegany przez Zachód jako zagrożenie nie tylko ze względów militarnych i tendencje imperialne, lecz także dlatego, że tworzył – wydawało się wówczas – wiarygodną alternatywę roz-

wojową, wiarygodny alternatywny ład społeczny. Oczywiście, wkrótce obawy jednych i nadzieje innych pękły jak bańka mydlana. Ale nie powinniśmy myśleć ahistorycznie i nie dostrzegać wpływu ZSRR na wewnętrzne funkcjonowanie państw demokratycznych, na pewną funkcję kontrolną, jaką spełniał.

Pan rektor zadał szereg interesujących pytań. Nie powiedziałem, że kryzys panuje wszędzie, wręcz przeciwnie, podkreślałem, że kryzys dotyczy krajów najwyżej rozwiniętych, co jest jednak bardzo istotną kwalifikacją. Ani w Chinach go nie ma, ani w Indiach, ani w Brazylii, ani w Afryce Południowej. Kryzys nie dotyczy większości świata, chociaż również inny płacą za jego występowanie w krajach najbardziej rozwiniętych i demokratycznych. Próbowałem pokazać, że stanowi to wyzwanie dla sposobu funkcjonowania demokracji w tych krajach. Inny problem dotyczy niskiego poziomu uczestnictwa w procesie demokratycznym w naszym kraju. Wyraża się to w sposób spektakularny w niskiej bardzo – na tle Europy – frekwencji wyborczej. Jakiego są tego źródła? Myślę, że trzeba ich szukać m.in. w bardzo niskim poziomie wzajemnego zaufania Polaków, w dramatycznie małym zaufaniu do klasy politycznej. Zaufanie jest jednym z fundamentów demokracji i wskaźniki zaufania konstruowane przez badaczy są w Polsce niezwykle niskie, jeżeli nie najniższe w Europie. Podobnie rzecz się ma ze zdolnością, gotowością do samoorganizacji, do podejmowania działań zbiorowych w sprawach ważnych dla mniejszej czy większej grupy obywateli. Polacy są nieufnymi indywidualistami. Francis Fukuyama sformułował kiedyś interesującą tezę, że w krajach, w których panuje niski poziom zaufania wzajemnego, mogą powstawać tylko małe przedsiębiorstwa, dlatego że w małych przedsiębiorstwach, gdzie zna się wszystkich, można działać przy niskim poziomie zaufania. Duże przedsiębiorstwa wymagają dużego kapitału zaufania, dużego kapitału społecznego, którego w Polsce nie ma. To jest ciekawa hipoteza, której sprawdzenie mamy jeszcze przed sobą.

I ostatnia uwaga, na temat krajów arabskich. Czy jest tam możliwy inny model demokracji? Oczywiście, że tak. Nawet w Polsce próbowano realizować, za rządów PiS-u, swoisty model demokracji nieliberalnej. Zresztą wielu ludzi tej partii zgadzało się ze mną, gdy formułowa-

łem wówczas tę tezę. Można mówić o demokracji russoistycznej. To demokracja, która nie jest ograniczona mechanizmami państwa liberalnego. W demokracji liberalnej pewne domeny są wyjęte poza nawias procesu politycznego, zdominowanego przez większość: chodzi o prawa człowieka, prawa mniejszości; chodzi – jak już mówiłem – o takie instytucje, jak Trybunał Konstytucyjny czy Rada Polityki Pieniężnej. W wizji demokracji autorstwa Jana Jakuba Rousseau nie ma żadnych ograniczeń nałożonych na wolę ludu. Mamy tam do czynienia z całkowitą dominacją polityki. Oczywiście, skutkiem może być tyrania większości. Państwo liberalnej demokracji, o ile coś je różni od innych modeli demokracji, to właśnie ogranicze-

nia nałożone na proces demokratyczny i na wolę większości. W krajach arabskich można sobie wyobrazić funkcjonowanie demokracji nieliberalnej, gdzie będą całkowicie dominowały partie islamistyczne, w których równocześnie będzie spełniony schumpeterowski, elementarny warunek demokracji, czyli okresowo organizowane wybory i pluralizm podmiotów walczących o władzę. No a tymi podmiotami będą np. różne partie islamistyczne. Stanowiłoby to być może jakiś postęp. W każdym razie nie ma powodów do czarnego pesymizmu po przesadnych nadziejach Arabskiej Wiosny. Co z tego się wyłoni? Pan Bóg tylko wie, czy też – żeby zakończyć zgodnie z tematem – Allah tylko wie... Dziękuję bardzo za uwagę.